Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Zwierzyniec danieli w maj. Redgoszcz p. Władysława Janta-Połczyńskiego. (Do art. na str. 463).

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 24 (836) 20 SIERPNIA 1936 R.

PROCH „SOKÓŁ" i „KUROPATWA" W AMERYCE POŁUDNIOWEJ

... „dostarczony mi proch oddał mej wyprawie nad Amazonką i Ukajali cenne usługi. ... Gdy dobrze i właściwie nabiliśmy (używałem tylko łusek mosiężnych) i dobrze wycelowaliśmy, ptaki, na które wyłącznie polowaliśmy, zawsze padały, nawet ze stosunkowo większej odległości....

Reasumując, proch W. Panów przydał mi się znakomicie i zdał egzamin w klimacie tropikalnym. Używałem również podczas mej wyprawy proch angielski, dostarczony mi w Iquitos, uważany za najlepszy i dostosowany do tamtejszego klimatu. Stwierdzam z całą satysfakcją, że proch ten bynajmniej nie był lepszy, niż proch polski..."

— pisze znakomity podróżnik i badacz

ARKADY FIEDLER

Trwał spór oddawna, jaka broń śrutowa
prym dzierżeć może we właściwem ręku —
kłótnie wzniecano od słowa do słowa...
Temat był twardy, jak żywica w sęku...

Aż zcichło wszystko, dziś nikt się nie spiera,
z czego ma strzelać... Wieść poszła po świecie
z Wannsee, przez kraje przenika i wzbiera:
— SCHOLBERG tą bronią! Lepszej nie znajdziecie!...

WYŁĄCZNY PRZEDSTAWICIEL NA POLSKĘ

Wilhelm Ziegenhirte

SKŁAD BRONI „Ł O W I E C"

WARSZAWA, WIDOK 22.

„HADROGI" SUCHARKI DLA PSÓW!



Najzdrowszy żer mięsno odżywczy
z domieszką soli fosfor. wap.
5 kg. — Zł. 6,80
10 „ — „ 13,20
25 „ — „ 31,50
za zaliczeniem
„HADROGA" Wytw. Chem.
Bydgoszcz, ul. Matejki 2.



OKAZYJNIE DO SPRZEDANIA

Gerston Jara

suka, pointer, urodzona 12.III-35 r. (Blackfield Eole L. O. S. H. 41498 — Marbiel Guerre), zdobywczyni II-ej nagrody w klasie młodzieży na wiosennych próbach polowych w 1936 roku.

Właściciel i hodowca K. Kamieński. Wiadomość telefoniczna pod Nr. 12-62-30, od 5 do 7-ej po poł.



Kozły, ubite przez Ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego w Trzebieniu, u Stanisława hr. Zamoyskiego, w maju 1936 r.

MŁODYM KU ROZWADZE.

(Dokończenie).

Jeszcze większą ostrożność zalecić trzebaby młodszym lub początkującym przy strzelaniu do nisko ciągnących ptaków. Do dzisiaj nosi jeden z moich znajomych kilka śrucin w kolanie, któremi go naszpikował zbyt rozgorączkowany sąsiad, chcący koniecznie ubić kszyka.

Jakże również łatwo kogoś postrzelić, jeśli się pali do kaczek lub kszyków, wnoszących się w górę na tle trzcin lub szuwarów, za któremi niewiadomo kto lub co się znajduje.

Pamiętam dwa wypadki. W jednym oberwała z 15 śrutów młoda kobieta, piorąca bieliznę w rzece, za ścianą trzciny. Strzał miał dosięgnąć kszyka. Dobrze trafiona, ze strachu i bólu najpierw przeraźliwie krzyknęła, a potem zemdlała.... Kilka ziarnek ja jej wycisnąłem, a inne, tkwiące głębiej w piersiach, w przyrodzeniu i w udach, wyciągnął na drugi dzień lekarz. Szczęśliwie się złożyło, że śrut był drobny i że musiał wprzód, zanim dosięgnął człowieka, sforsować gęste źdźbła trzciny. Zbiegli się zaraz chłopi z całej wsi i omal nie zlynczowali przestraszonego młodzieńca, pragnącego koniecznie mieć tyle kszyków, co ja.... Ledwie go obroniłem.

Inny wypadek skończył się całkiem nieszczęśliwie. Dwaj prawosławni popi, nawet nie młodzi, wybrali się raz na staw w Jużyńcach na Bukowinie, na kaczki. Jeden z nich jeździł czółnem niedaleko brzegu i strzelał do kaczek z podrywu, drugi szedł równolegle lądem i strzelał do ptaków, lecących już nad polem. Tak się umówili. W pewnej chwili wszedł ten drugi w gęste, na wzniesieniu rosnące trzciny i znikł w nich z oczu jadącemu czółnem. Wzlatują kaczki.... Pop w czółnie strzela na tle zarośli. Równocześnie rozlega się tam jęk. Zanim wysiadł na brzeg i dobiegł do towarzysza, już ten nie żył. Śrut przebił trzcinę i trafił go w oko, przewiercił cienką kość za gałką oczną, utkwił w mózgu i sprowadził śmierć natychmiastową. Wszak nieszczęście stale czyha i trudno go czasem uniknąć!.... Salwujemy się przed niem tylko czujną ostrożnością, posuniętą do ostatecznych granic.

Kocioł polny ma się ku końcowi. Strzelcy idą blisko siebie w oddaleniu o jakieś 60 kroków najwyżej. Między dwoma sąsiadami biegnie w polu szeroki rów, ale niezbyt głęboki. Rowem kipi zając. Pan X., od którego zwierz był bliżej, strzela go bezskutecznie w rowie, ale nie puszcza za siebie, lecz dubluje zaraz i to w chwili, kiedy zając równał się z sąsiadem. Skutek smutny, bo ten dostaje śrutem w czoło. Pocisk, trafiwszy na twardą kość, przechodzi wzdłuż czaszki i zostaje pod skórą. Sprawca okaleczenia tłomaczył się, że strzelał zająca w rowie i w dół, i nie wyobraża sobie, jak mógł śrut dotrzeć do głowy kolegi. A jednak dotarł. Przecież strzelający mógł wypuścić zająca za siebie i uniknąłby wypadku.

Na pewnem polowaniu bierzemy ciekawy miot. Jest to duża remiza, zalesiona piętnastoletnią sośniną i świerczyną. Wzdłuż niej porobiono linje w odstępach 50-cio krokowych. Było ich osiem. Na każdej stanął

jeden myśliwy i miał iść razem z naganką, przed siebie. Ta posuwa się płotem, naturalnie krzakami, a myśliwi linjami. Łowczy zapowiedział jak najbardziej stanowczo, ażeby strzelać podczas ruchu tylko przed siebie, na linji, a nie wstecz, gdyż czasem ktoś może pozostać w tyle i łatwo go postrzelić.

W miocie zwierzyny moc, palba szła gęsta. Atoli przy samym już końcu pędzenia jeden z młodszych strzelców nie wytrzymał i strzelił do zająca poza siebie. Efekt fatalny. Chłopak z naganki, który przypadkiem przyzostał za świerkiem, otrzymał z odległości może 10 kroków cały nabój w kolano... Odwieziono go zaraz do szpitala.



Parostki rogacza, ubitego przez kpt. Kurzaba-Dąbrowskiego w lasach dóbr Milczyce. Wysokość 28,5 cm.

Po jakimś czasie dowiedziałem się, że wyleczył się szczęśliwie i mógł nawet chodzić o kuli. Rzecz oczywista, że łakomego i nieposłusznego strzelca kosztowała ta niesubordynacja cały majątek.

Zachłanność i niepohamowaną żądzę strzelania, powodującą powszechnie te groźne wypadki, należy u siebie już na pierwszem w życiu polowaniu zacząć zwalczać i rozedrgane nerwy uspokajać. Od pokonania tych cech ujemnych, tak, niestety, powszechnych u początkujących myśliwych, trzebaby właściwie rozpoczynać karjerę myśliwską.

Jeśli się ktoś nie potrafi całkowicie opanować i z tego zdaje sobie świadomie sprawę, niechaj lepiej siedzi w domu, pilnuje żony i dzieci, i niech ze strzelbą nie zaczyna!

*

Często niektórzy myśliwi chcą na każdem polowaniu królować!....

Byliśmy raz w lesie w ośm strzelb. Wśród nas znajdował się pewien starszy, poważny pan, na którym gospodarzowi bardzo zależało. Przyjechał tam także młody adjunkt leśny, syn starosty, bardzo miły zresztą człowiek, który wcale dobrze, jak na swój wiek, strzelał. Po kilku miotach przy śniadaniu mówiło się o tem, co kto ubił i poważny gość także swą cyfrę wymienił. Na to odezwał się młody adjunkt: „Ja mam o dwie sztuki mniej, ale muszę pana przestrzelać!" Zauważyliśmy zaraz, że starszy pan skrzywił się na to i jakoby już całkiem stracił humor. Później stwierdziłem, że prawie po każdym miocie dreptał adjunkt obok tego pana — wypytywał go, ile strzelił i chwalił się, że on ma raz o jedną, to znów o dwie sztuki więcej. I doprowadził wkońcu do tego, że starszy jegomość wyjechał przed zakończeniem polowania, nie pożegnawszy się nawet z nikim.

Zachowanie się owego młodego człowieka zrobiło na nas wszystkich bardzo niemiłe wrażenie i dostarczyło znowu jednego przykładu więcej, jak to nieładnie gonić za rekordem.

Znajdujemy się w lasach hrabstwa W. Polowanie administracyjne, to znaczy, że przybyło kilku leśniczych, kilku zarządców gospodarczych i ja, jako gość. Prowadził leśniczy rewiru, w których polowano i który właśnie mnie zaprosił, Młody ten człowiek, znakomity strzelec, stawiał mnie ciągle obok siebie. Byłem przekonany, że będzie mi zwierzynę puszczał, ażebym i ja coś kiedyś mógł strzelić. Cóż się jednak pokazało? Oto, że ja przyglądałem się tylko, jak on na cudowne odległości kładł zające, jednego po drugim. Wiele z tych szaraków szło na mnie, co widać było w tykowym lesie doskonale.

Było mi wreszcie za wiele tej roli statysty, więc poprosiłem nadleśnego, ażeby mnie stawiał raczej obok siebie. I zaraz szło mi lepiej, bo strzeliłem gładko kilka zajęcy.

Że starość nie zawsze bywa hamulcem zapalczywości myśliwskiej, to święta prawda. Na dowód przytaczam pewną historję, jaką mi opowiedział niedawno jeden z moich przyjaciół, dr. H. Cytuję ją dosłownie.

„Przez kilkanaście lat jeździłem do dworu w N. na polowania. Właścicielem był mój kolega szkolny i serdeczny przyjaciel, jedyne dziecko żyjących jeszcze wówczas państwa W. Tam poznałem dalekiego owych państwa kuzyna, który był pasjonowanym myśliwym i mimo zbliżającej się siedemdziesiątki trzymał się jeszcze dziarsko, nawet w najtrudniejszych terenowo miotach.

Staruszek brał swego czasu wybitny udział w powstaniu styczniowem i miał rangę pułkownika. Musiał być dzielnym partyzantem, skoro często natrafiałem na zaszczytne o nim wzmianki w różnych książkach, traktujących o ruchu narodowym i wychwalających jego zasługi dla sprawy.

My młodzi, zgromadzeni w domu, słuchaliśmy nieraz z zapartym oddechem i z zachwytem jego nadzwyczajnie ciekawych opowieści o powstaniu i szanowaliśmy ogromnie tę jasną postać.

Niestety, wszystko to trwało tak długo, dopóki pułkownik nie znalazł się razem z nami na polowaniu. Wówczas był z nim kłopot nieustanny i trzeba było zęby zaciskać, ażeby nie okazać się niegrzecznym dla powstańca.

Przedewszystkiem rzadko się zdarzało, by wytrzymał przez cały miot na swojem stanowisku; zawsze musiał się gdzieś przestawić. Sąsiedzi nigdy nie wiedzieli, gdzie właściwie się podziewał.

Braliśmy raz chłopskie przylaski, jako osobne mioty. Myśliwi stawali na przecinkach, dukcikach, lub w lesie, gdzie który mógł, bo nie było przeciętych linij. Naganka przeganiała także zazwyczaj kawałki pól, a potem las. Postawiono mnie obok pułkownika na wąskiej ścieżce. Zanim obejrzałem się wkoło, już go nie było. Gdzieś się zaszył. Naganka się zbliżała,

przeszły koło mnie na dobry strzał dwa zające. Nie strzelałem naturalnie, bo się obawiałem, ażeby nie położyć razem zająca i pułkownika... Po miocie wylazł z krzaków i robił mi jeszcze wymówki, dlaczego do zwierzyny nie strzelałem. Nie odezwałem się ani słówkiem, by nie uchybić siwemu włosowi.

W słoneczny dzień październikowy polowaliśmy raz we trójkę: młody gospodarz, pułkownik i ja. Były z nami także dwa psy, które dobrze pracowały i wystarczały zupełnie dla trzech myśliwych. Z pułkownikiem zaczęło się znowu piekło. Nie chodził równo z nami, tylko ciągle pchał się przed nasze lufy i uniemożliwiał strzelanie. Jakby na złość!

Gdy sam później zaproponował, że ze swoim psem pójdzie w inną stronę, ucieszyliśmy się bardzo. Ruszył też zaraz w innym kierunku i po chwili zniknął nam z oczu.

Jedno stadko po strzałach pociągnęło na mały pagórek, porośnięty koniczyną, a my obaj poszliśmy za niem. Gdyśmy się podsunęli pod wzniesienie, pies począł ściągać i było widocznem, że kuropatwy zaraz się poderwą. Podchodzimy z bronią, gotową do strzału, gdy nagle pokazuje się z drugiej strony pagórka głowa pułkownika.... Szedł na to samo stadko, co i my, jeno ze strony przeciwnej. Opotrzność nas ustrzegła, bo strach pomyśleć, coby się było stało, gdybyśmy tak razem przed siebie wystrzelili. Nie poczuwalibyśmy się do winy, ale zawsze...

Wyjaśniło się, że pułkownik poszedł rzeczywiście w swoją stronę, gdyśmy się rozeszli, ale, słysząc nasze strzały, nie wytrzymał i, zoczywszy stado, zapadające na wzgórzu, począł je podchodzić...

W innem znowu polowaniu w lesie wziął udział także nasz pułkownik. Wtedy, mnie sobie specjalnie upodobawszy, obsypał dwa razy moje ubranie śrutami, na szczęście nieszkodliwe. Na te łowy zjechało trzech braci Z. Porządnie podenerwowany, zwróciłem się zaraz do pułkownika z gorącą prośbą, ażeby może raczej zechciał odstrzelić jednego z tych trzech braci, pozostanie bowiem ich rodzicom jeszcze dwu na pociechę. Ja zaś, jako jedynak, pogrążyłbym swoich, zginąwszy marnie, w nieutulonym nigdy smutku...

Trochę się pułkownik obraził, ale jakoś go udobruchałem, wmówiwszy w niego strzelonego z nim do spółki zająca.

Pojechaliśmy do pewnego miasteczka na zaproszenie tamtejszego klubu myśliwskiego. Przed rozpoczęciem polnych miotów zapowiedział łowczy, że kto strzeli po trąbce, zapłaci 5 guldenów kary. Biedny pułkownik musiał uiścić zaraz po pierwszym kotle tę sumę, a później jeszcze dwa razy w następnych miotach. Ponieważ kasa zacnego nemroda nie była zasobna, przeto łowczy zniżył mu wydatnie grzywnę, zaznaczając jednak, że dla zasady coś zapłacić musi. I płacił ciągle.

Gdyśmy mu później robili wymówki, dlaczego strzelał po sygnale, odrzekł z prostotą: „Nie mogłem się powstrzymać!..."

Na zakończenie jeszcze jedno...

Bywa nieraz, że po polowaniu rozprzedaje się zwierzynę i wówczas nierzadko się zdarza, iż ten lub ów strzelec kilkanaście zajęcy przerzuci, zanim jednego wybierze. Nieszczególny to, oczywiście, rys charakteru.



Warzęchy.

Na wczesnych jesiennych polowaniach przytrafić się może, że padnie jakiś mniejszy zajączek, ale w zimie są wszystkie mniej więcej jednakowe i niema wtedy potrzeby przebierać ich.

Polowałem przez szereg lat z pewnym panem, który stale wszystkie zające przerzucał, wybierając sobie zawsze największe.

Gdy pan ten włożył sobie raz do sań dwa specjalnie wybrane zające, ktoś korzystając z tej okazji, że się zagadał, włożył mu niespostrzeżenie pod dachę dwa króliki... zające sprzątnąwszy.

Czy pan ów reklamował swoją szkodę, nie wiem, ale to stwierdziliśmy wszyscy później dokładnie, że już nigdy więcej zwierzyny nie wybierał.

WŁADYSŁAW GURTLER.

Towarzysz łowów.

Brzydki jest i niepozorny
wierny mój towarzysz łowów —
reumatyzm mu skręcił łapy,
ze starości nieco ogłuchł.

Niema polowych zaświadczeń,
udziału nie brał w field-trialsach,
tylko z panem całe życie
spędził na myśliwskich rejsach.

Lecz nikt żwawiej nie bobruje
w skwarny lipcowy poranek,
by z trzcin wypłoszyć pod strzelbę
stadko już lotnych cyranek.

Nikt tak w miejscu nie osadzi
cieknących bróździą kuropatw,
lub postrzałka nie przyniesie,
choćby gdzieś daleko opadł.

A kiedy legnę zmęczony
na pierwszej z brzegu polanie,
zaraz rozciągnie się przy mnie,
z łbem, wspartym na mem kolanie.

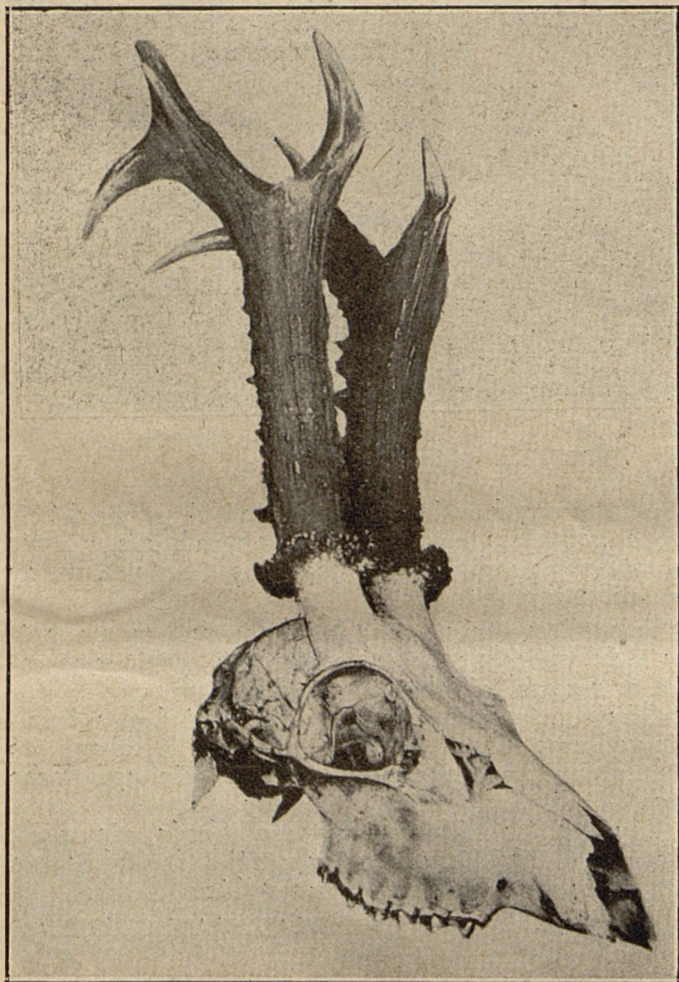
I patrzymy sobie w oczy
twardo, wnikliwie, bez słowa...
Wzruszenia, w piersi drgające,
może tylko spłoszyć mowa.

JÓZEF JASTRZĘBIEC - SZCZEPKOWSKI.

Z POLOWAŃ W VESSELY I VUCSKO.

Dzięki nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności, otrzymawszy bezpłatny paszport zagraniczny, (co nie jest dostępne każdemu śmiertelnikowi), mogłem w tym roku wyjechać na polowania do Czechosłowacji.

Trzy dni, które spędziłem w Pradze, dały mi możność zrobienia całego szeregu obserwacyj, związanych z łowiectwem. Otóż np. na Mołdawie, przepływającej przez sam środek Pragi, gnieździ się moc dzikich kaczek. Pływają one beztrosko wśród kajaków i kąpiących się tutaj Czechów. Pomyślmy tylko: coby się stało z taką biedną kaczuszką, gdyby chciała choć na chwilę popływać po Wiśle, koło plaży Kozłowskiego. Pół Warszawy wyległoby, by biedne stworzenie ukamienować.



Parostki rogacza - dwunastaka, ubitego przez p. Mieczysława Mniszka Tchorznickiego w Vucsko, w Czechosłowacji. Waga 513 gr.

Albo np. przy ulicy Vlasskiej stoi wspaniały pałac Lobkowitza. Obecnie znajduje się tam Instytut Orjentalny. Przy pałacu tym jest duży park, po którym chodzą zupełnie swobodnie sarny i jelenie. Rogacze są do tego stopnia oswojone, że rozpychają się, by tylko docisnąć się do ręki przechodnia, który podaje im chleb lub cukier. Czy jest to możliwe w parku Ujazdowskim, lub w Ogrodzie Saskim?... Ale co kraj— to obyczaj.

U nas czyha się na każde stworzenie, by je zabić, lub conajmniej podrażnić. Zagranicą ludzie cieszą się, gdy uda im się oswoić dzikie zwierzę. Może jednak z czasem i do nas dotrze kultura Zachodu, może i w Parku Paderewskiego będą się mogły swobodnie przechadzać jelenie i sarny, a kaczki pływać po Wiśle. Jest to jednak pieśń dalekiej przyszłości.

Pobyt mój w Pradze minął szybko na obradach Kongresu Hindologów i zwiedzaniu miasta. Z chwilą, gdy opuściłem progi tego wspaniałego grodu, natychmiast już stałem się myśliwym. Od kilku lat byłem stale zapraszany przez hr. Chorinsky'ego do Vessely na polowania. Sześć godzin podróży pociągiem pośpiesznym przez Brno do Vessely minęło bardzo szybko.

Vessely to wspaniała rezydencja, zamek, który mieści olbrzymie zbiory myśliwskie oraz bibljotekę. Zbiory myśliwskie składają się z trofeów miejscowych oraz trofeów, zdobytych przez obecnego właściciela Fritza Chorinsky'ego w Afryce. Jeździł on tam dwa razy i przywiózł tyle rzeczy, że nawet obszerne korytarze zamku Vesselskiego nie mogły tego wszystkiego pomieścić, toteż większość zbiorów afrykańskich w Muzeum Przyrodniczem w Brnie stanowi właśnie trofea zdobyte przez Chorinsky'ego.

O zbiorach europejskich nie mogę pisać — studjowanie ich zajęło mi około dwóch dni, tyle tego tu jest. Około 5000 parostków sarnich, 1000 wieńców jeleni, głowy dzików, wypchane w całości niedźwiedzie, różne odmiany ptactwa łownego, stara broń myśliwska, cudowne stare sztychy, obrazy i wreszcie cudo skończone, bibljoteka myśliwska, w której druki z końca XVI wieku nie są rzadkością. Na każdym kroku znać tutaj, że mieszkali i mieszkają zamiłowani myśliwi. Nic więc dziwnego, że byłem tem wszystkiem olśniony.

Ale np. proszę sobie wyobrazić p. Kobylańskiego w zamku Vesselskim. Biedny kapitan usechłby chyba z zazdrości, gdyby to zobaczył i nie mógł przenieść do swoich zbiorów, z takim trudem gromadzonych. Ja sam byłem niedaleko od pomieszania pojęcia własności, tyle tu rzeczy godnych zobaczenia. Niestety, przyjechałem na łowy i nie mogłem studjów moich kontynuować bez przerwy, ponieważ jednak mam zaproszenie na przyszły rok, obiecałem sobie wybrać się do Vessely na dłuższy czas, by porobić dokładniejsze notatki.

Zaraz pierwszego dnia, ledwo zdążyłem się przebrać i umyć po podróży, już uprzejmy i gościnny gospodarz namawia mnie, bym spróbował szczęścia na podjeździe rogaczy. Fama o mnie, jako o zapalonym myśliwym, doszła tutaj już przedtem przez licznych znajomych.

Teren, na którym poluje się na rogacze z podjazdu, są to olbrzymie przestrzenie łąk, na których rosną potężne dęby i jesiony. Gdzieniegdzie rosnące gęste kępy łozy umożliwiają zwierzynie ukrycie się przed okiem chciwego myśliwego. Podjazd odbywa się z samochodu. Specjalnie też skonstruowane są okna w samochodzie, by można było oddać strzał bez wysiadania. Po spuszczeniu szyby w aucie, zakłada się na szkło specjalne ochraniacze z drzewa tak, że można strzelać, oparłszy lufę o okno. Jest to nadzwyczajnie uproszczony sposób polowania, który się jednak szybko znudzi, rogacze bowiem są tak oswojone z widokiem samochodu, że podjechać je można bez najmniejszego ryzyka dość blisko. Sam strzał już nie przedstawia żadnych trudności.

Już pierwszego dnia zorjentowałem się, że rogaczy jest bardzo dużo, ale zdobyć porządnego kozła nie będzie rzeczą łatwą. Wszystko, com widział, były to albo widłaki, albe słabe szóstaki, właściwie nienadające się do strzału. Dopiero, gdy wracałem do domu, pod samym prawie parkiem zauważyłem sarnę. Obok niej, koło olbrzymiego dębu pasła się druga sztuka, ukrywszy głowę w trawie. Przez lornetkę skonstatowałem dobrego kozła. Strzał na 120 kroków nie był zbyt trudny, zwłaszcza, że lufy sztucera oparłem o podpórkę okienną. Po strzale rogacz został na miejscu. Niestety, parostki okazały się gorsze, niż się spodziewałem.

Dwa dni następne poświęciłem jeszcze rogaczom, na które polowałem z samochodu. Jednak ani jednego dobrego szóstaka nie widziałem, a do złych nie chciałem strzelać. Gdybym jednak strzelał do każdego napotkanego szóstaka, mogłem zabić około 15 rogaczy. W Czechach strzela się do każdego szóstaka, toteż szofer, który mnie woził, bardzo się dziwił, dlaczego nie strzelam, mając rogacze na bardzo nawet bliskie dystanse. Tłomaczyłem mu, że chcę dobrego rogacza zabić, a nie takie rogaczyki, nic to jednak nie pomagało. Słyszałem wieczorem, jak mówił służącemu, że ten polski myśliwy, to musi być kiepski strzelec, bo jakoś nie chce strzelać, choć ma rogacza na strzał. O tem jednak, czy polski myśliwy strzela dobrze czy źle, mógł się przekonać potem, gdyż udawały mi się strzały niekiedy bardzo trudne. Postanowiłem sobie bowiem strzelać możliwie jak najpewniej, broń miałem doskonałą, podwójny sztucer Springera leżał bajecznie. Ale o następnych strzałach potem....

Pewnego dnia gospodarz zaproponował przerwę w polowaniu na rogacze, a radził wybrać się na pędzone kaczki. Oczywiście zgodziłem się na jego propozycję. Dowiedziawszy się, że na tem polowaniu ma być Paweł Palffy i Karol Esterhazy, ścierpła na mnie skóra, są to bowiem dwie najlepsze strzelby na Węgrzech i w Czechach. No, ale słowo się rzekło... Postanowiłem mało strzelać, ale zato pewnie.

Polowanie na kaczki miało się odbyć w lesie. Wśród pasma wysokiego drzewostanu, ciągną się długie, wąskie mokradła, porośnięte trawą i sitowiem. Tam też gnieździ się niezliczona ilość krzyżówek, cyranek, a najwięcej cyraneczek.

Ledwo stanęliśmy na stanowiskach, zdaleka zobaczyłem jakiegoś dziwnego ptaka, który wolno zbliżał się do mnie. To „coś" było podobne do czapli, lecz zupełnie białej i znacznie mniejszej. Schowałem się za drzewo, strzelcowi kazałem to samo uczynić za drugiem i niecierpliwie czekałem na ukazanie się ptaka na dystans możliwy do strzału. Niestety, strzał z prawej strony zrzucił ptaka z obranej linji lotu i skierował go w przeciwną stronę, tam jednak szła naganka, głośno krzycząc, zwrócił się więc znowu ku mnie. Tymczasem kaczki, spłoszone już, zaczęły się coraz częściej ukazywać nad naszemi głowami. Moi sąsiedzi zaczęli już strzelać, podczas gdy ja jeszcze wciąż miałem nadzieję na zdobycie ciekawego okazu i dlatego puszczałem kaczki bez strzału.

W rezultacie cierpliwość moja została nagrodzona. Kiedy już złożyłem się do kaczek, przelatujących nad samą głową, strzelec zwrócił moją uwagę w prawo. Między drzewami, wolno szybując skrzydłami, leciała królewska biała czapla. Błyskawicznie się złożyłem — strzał — i piękna, niecodzienna zdobycz stała się mym udziałem.

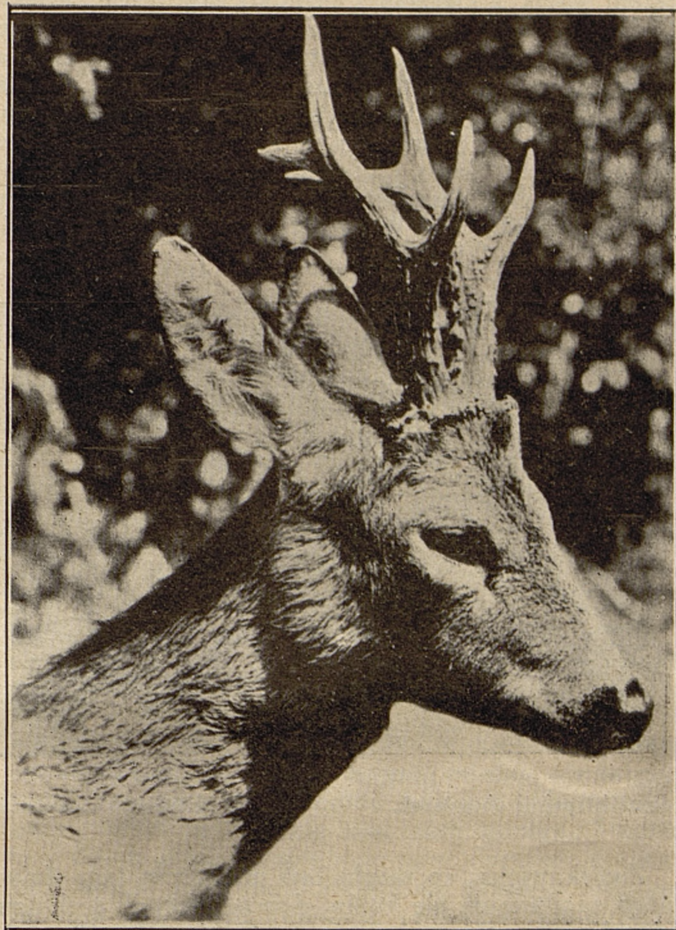
Teraz dopiero otworzyłem kanonadę do kaczek. Jak tam było ze strzałami, a raczej rezultatem tej kanonady, wolę zamilczeć, w każdym razie około 40 sztuk zginęło z mych luf. Inni natomiast mieli i po 100 sztuk. Niezrażony jednak rezultatem tym, strzelałem coraz lepiej i pod wieczór zrównałem się prawie z innymi myśliwymi. Zdobyczą tego dnia było w cztery strzelby około 420 kaczek i moja zdobycz, wspaniała biała czapla. Będzie ona zdobić korytarz Vesselski, mnie została, jako pamiątka, jej fotografja, a wspomnienie zdobycia rzadkiego okazu też nie jest do pogardzenia.

Na króliki polowałem prawie codziennie — z fretką. Niestety, trafić tę „jaskółkę na ziemi" jest bardzo trudno, toteż kilka zaledwie sztuk zabiłem, podczas gdy strzelałem bardzo dużo.

Hr. Chorinsky posiada oprócz Vessely jeszcze jeden majątek leśny na Rusi Podkarpackiej. Tam też udaliśmy się na rogacze, które naprawdę są wspaniałe. Spotkania są trudne, ale zato ubicie takiego rogacza sprawia naprawdę satysfakcję.

Do Vucsko — tak się nazywa ten majątek — dojechaliśmy samochodem już późno wieczorem, więc nie mogliśmy zacząć polowania zaraz.

Następnego dnia rano, podchodząc dobrego rogacza, spłoszyłem stado dzików. Wyprysło mi z pod nóg tak blisko, że niemal lufą musiałem się odpędzić, by mnie nie przewróciło. Zaraz też w południe zapytałem się Fritza, czy wolno strzelać dziki, miałem bowiem jakieś dziwne przeczucie, że dojdę do strzału. Ustawa czeska pozwala polować na dziki przez cały rok, więc też, otrzymawszy pozwolenie strzelania do nich ile tylko zechcę, postanowiłem przy pierwszej sposobności z pozwolenia tego skorzystać.



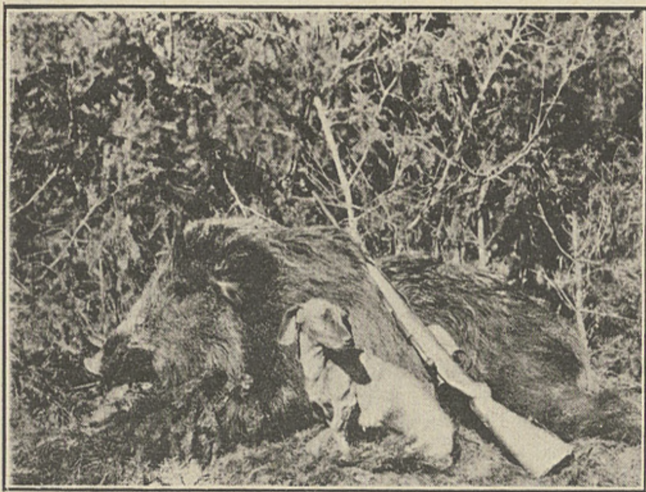
Dobry rogacz z Rusi Podkarpackiej, zabity przez p. M. Mniszka Tchorznickiego w Czechosłowacji.

Wieczorem tego samego dnia poszliśmy we dwóch z gospodarzem na podchód. Dobry, a nawet bardzo dobry szóstak, którego widziałem rano, pasł się spokojnie na przeciwnym stoku górskim. Zacząłem go podchodzić. Nie było to rzeczą łatwą zejść z góry i znowu wdrapać się na inną. Zabrało to może godzinę czasu, tak, że wyszedłszy na miejsce, gdzie powinien znajdować się kozioł, już go tam nie zastałem. Fritz jednak, który mnie widział prawie cały czas, dawał mi znaki, że kozioł jest po lewej stronie. Zaczął się podchód w niezmiernie trudnych warunkach. Ciągle trzeszczące pod nogami gałęzie, oślizgłe od rosy, porośnięte mchem kamienie stawały mi na przeszkodzie. Wreszcie zobaczyłem rogacza. Stał o jakieś 130 kroków, wpatrując się w moją stronę. Widać usłyszał mnie już i zaniepokojony rekognoskował teren. Schowany za krzakiem jałowca, czekałem tylko chwili odpowiedniej, by doskoczyć do pobliskiej jodły i, oparłszy sztucer o drzewo, strzelić. Jakoż po chwili wypełniłem mój zamiar. Kozioł, zaznaczywszy strzał, w ogromnych susach zaczął uciekać w dół. Strzał w pełnym biegu, w trudnych warunkach przerwał jego nić żywota, a mnie sprawił nadzwyczajną radość. Drugą kulę dostał w szyję u nasady łba.

Na trzeci dzień mego pobytu w górach, mając już i drugiego rogacza, podchodząc rankiem całkiem

średniego kozła, zauważyłem coś czerwonego w krzakach. Przez lornetkę skonstatowałem bardzo dobrego rogacza, ale dziwnemi wydały mi się parostki, coś tam było zadużo tego na głowie. Nareszcie upragniony karpacki myłkus. Zacząłem go podchodzić. Niestety dwugodzinny podchód na nic się nie przydał. Kozioł wreszcie schował się w kępę gęstych świerków, gdzie podchód był niemożliwy.

Postanowiłem za wszelką cenę zdobyć tego myłkusa. Dwa dni chodziłem za nim, nie strzelając do innych rogaczy, by go strzałem nie spłoszyć. Wreszcie trzeciego dnia spotkałem go znowu, pasł się na małej polance. Ponieważ rozpoczynała się już rujka, wyjąłem wabik z kieszeni i cichutko zawabiłem. Kozioł podniósł łeb do góry. Jeszcze raz przypatrzyłem mu się przez lornetkę i o dziwo, mój rogacz okazał się wspaniałym ósmakiem. Jeszcze bardziej stał się dla mnie ponętnym. Wolno zbliżał się na mój wab. Wtem, gdy prawie już go miałem na strzał, w pełnym biegu zwrócił się w lewo, oddalając się coraz bardziej odemnie. Nie chciałem strzelać, mając niepewny strzał, a wiedząc, że go jeszcze spotkam w tym rewirze.



Jamnik spełnił obowiązek. Fot. M. Mniszek Tchorznicki.

Zaciekawiony, co mogło być przyczyną tego dziwnego zachowania się kozła, dobrze ukryty, czekałem cierpliwie na rozwiązanie zagadki. Wkrótce się wszystko wyjaśniło. Oto z pobliskiego gąszczu powoli wysunął się łeb dobrego czternastaka jelenia. Wyszedł wolno na polanę i rozglądał się. Zdjęcie! — błysnęła mi myśl, tembardziej że do jeleni jeszcze nie wolno było strzelać. Cicho, jak tylko umiałem, wyciągnąłem z kieszeni aparat fotograficzny i zrobiłem dwa zdjęcia. (Niestety, po wywołaniu klisz okazało się, że odległość była za duża. Jeleń wyszedł na zdjęciu, jak główka od szpilki). Długo się jeszcze przyglądałem wspaniałemu zwierzęciu. Jego rogi zupełnie już wyczyszczone ze scypułu, czerwone jeszcze były, ale stanowić już mogły upragnioną zdobycz. Ciemno już było prawie zupełnie, gdy wróciłem do koliby. Tu zastałem hrabiego z bajecznym rogaczem. Zdobył go przypadkiem, gdy podchodził innego. Ja w tym dniu nie strzelałem.

I znowu następny dzień minął bez strzału, choć mego kozła widziałem. Jakoś nie udawało mi się go podejść na strzał.

Szóstego czy siódmego dnia, schodząc z góry, po nieudanym podchodzie, około 10 rano wlazłem niemal na dzika. Zerwałem sztucer z ramienia i strzeliłem. Dzik zaznaczył, ale poszedł dalej. Była to duża sztuka. Po powrocie do koliby, opowiedziałem wszystko gospodarzowi, który zaraz posłał posłańca do nadleśnego z rozkazem, by przyszedł z psem. Jakież było moje zdziwienie, gdy gajowy wrócił z jamnikiem. Z lekceważeniem wyraziłem się o możliwości znalezienia dzika przy pomocy jamnika. Dowiedziałem się jednak, że mały ten psiak nietylko tropi ranioną sztukę, lecz goni także zdrowe.

Trzy godziny szukaliśmy miejsca, skąd strzelałem, wreszcie psiak, wziąwszy trop, pognał, jak szalony. My wolno poszliśmy za nim. Dwie godziny ciężkiego marszu, wśród niezmiernie trudnych warunków terenowych, wyczerpały moje siły do tego stopnia, że postanowiłem przerwać tropienie i już zacząłem prosić gajowego, by sam poszedł dalej, gdy wtem do uszu mych doszło dalekie piszczące szczekanie. „Jetzt der Hund hat ihn schon" — ledwo te słowa wypowiedział gajowy, już zmęczenie mnie opuściło. Gnałem, jak zwarjowany, za głosem psa. Coraz bliżej i bliżej słyszałem szczekanie. Wreszcie gęsta ściana świerków stanęła na mej drodze, za nią wrzała walka. Słyszałem wyraźnie fukanie dzika, warczenie i szczekanie psa. Niestety, nie mogłem iść dalej, gdyż i tak w tym gąszczu nie mógłbym strzelać.

Chwilę czekałem na gajowego, a gdy ten przyszedł, poprosiłem, by obszedł gąszcz i zaczął gonić z drugiej strony. W razie, gdyby zobaczył dzika, miał dobić go. Sam stanąłem za grubą jodłą. Chwila i potworny łeb odyńca z błyskawiczną szybkością ukazuje się z gąszczu i znowu się chowa. Emocja myśliwska, ta gorączka nieopanowania, potęguje się o 100%. Wszak jeszcze nigdy nie zabiłem odyńca. Wreszcie mam go, lecz może go nie zdobędę. Myśl pracuje szybko, to optymizm, to pesymizm bierze górę. Wtem strzał. Ano przepadło, mojego dzika dobił gajowy. Już chcę zawiesić sztucer, gdy znowu rozchylają się gałęzie i wypada czarny potwór. Strzał szybki, jak błyskawica, drugi i — dzik leży. Nareszcie! Hosanna! Odyniec jest. Potężne szable wystają z pyska. To nie wycinek, lecz naprawdę kapitalny odyniec. Gajowy strzelił na postrach, gdyż nie mógł także dojść do dzika z powodu gąszczów.

Powrót do koliby był tryumfalnym pochodem. W kolibie zrobiłem dwa zdjęcia i wyczerpany fizycznie, a nawet poniekąd i duchowo zmęczony wspaniałem przeżyciem, rzuciłem się na łóżko i zasnąłem kamiennym snem.

Obudziłem się dopiero koło 5 po południu. Hrabiego nie było już w kolibie. Przegryzłem coś niecoś i znowu udałem się w góry. Myśl moja ciągle krążyła koło mego ósmaka. Do innych rogaczy nie strzelałem, już tyle okazji straciłem. Cały wieczór włóczyłem się, szukając właśnie jego, lecz wszystko nadaremnie.

Na drugi dzień koło południa mieliśmy wracać do Vessely. Jeszcze jeden tylko podchód. Jeszcze jedna możliwość spotkania się z kapitalnym rogaczem.

Ciemno było zupełnie na dworze, gdy opuszczałem kolibę. Jakieś dwieście kroków dalej spotkałem rogacza z dwoma kozami. Dalej znowu dwa jelenie wolno przeszły koło mnie. Postanowiłem udać się na polanę, gdzie widziałem mego ósmaka. Cicho, jak tylko umiałem, szedłem, przygotowany do strzału. Na środku polany stała jakaś sztuka, ale czy to był kozioł czy sarna, nawet przez lornetkę nie mogłem rozpoznać. Czekałem cierpliwie. Hen w górach, jeszcze wyżej, w gęstych kłębach przewalały się mgły. Gdzieś w głębokim borze odezwał się huk puhacza, Rabuś wracał z wycieczki nocnej. Pozatem cisza. Coraz jaśniej jednak, coraz widniej, już przez lornetkę zobaczyłem, że sztuka, pasąca się na polanie, jest rogaczem. Jednak jeszcze za ciemno na strzał. Wreszcie światło ostrzejsze i mój, mój ósmak stoi na polanie. Zawabiłem. Rogacz powoli, z godnością podniósł głowę, wpatrzył się w miejsce, gdzie stałem, jakby chciał przejrzeć tajemnicę wabu. Bojąc się wydać fałszywy ton, przestałem wabić i tylko wpatrzony w upragnioną zdobycz, czekałem cierpliwie, czy moje najśmielsze marzenia spełnią się, czy też będę musiał wyjechać, nie zdobywszy wspaniałego trofeum.

Rogacz tymczasem zbliżał się w moją stronę. Już tylko sto kroków dzieliło nas, gdy znowu czemś zaniepokojony stanął. Postanowiłem strzelić, była to

bowiem jedyna okazja, jaka mogła się już nie powtórzyć. Wraz ze strzałem, zobaczyłem rogacza na ziemi. Jeszcze kilka razy wierzgnął nogami i wnet się uspokoił. Nie wierząc własnemu szczęściu, bojąc się je spłoszyć, podchodziłem do martwego kozła. Wszystko zawirowało w mych oczach, gdym ujął jego parostki w ręce. Nie ósmak, nie dziesiątak, ale dwunastak stał się moją zdobyczą. Normalne parostki szóstaka zdobiły jeszcze trzy na każdym rogu wyrostki długie na trzy centymetry. Sen o nadzwyczajnej zdobyczy stał się jawą. Jak pijany wracałem do koliby, zdawało mi się, że spotkało mnie jakieś nadzwyczajne szczęście, że coś wielkiego stało się w mem życiu, co już się nigdy nie powtórzy. Może to prawda... Dwunastaka kozła zabić... to nie chleb powszedni.

Hr. Chorinsky, widząc moją radość, a potem zobaczywszy moje trofeum, aż uściskał mnie z uciechy. Prosił, abym mu pozwolił zatrzymać parostki, by mógł je posłać na wystawę. Oczywiście zgodziłem się na to. Za kilka miesięcy będą one stanowić atrakcję mego myśliwskiego gabinetu.

Wracałem do Vessely, żegnając góry i Vucsko. Ze łzą w oku rozstawałem się z temi miejscami, gdzie padł mój pierwszy odyniec i trzy dobre rogacze.

W Vessely jeszcze jeden rogacz uzupełnił mój rozkład w Czechosłowacji i wreszcie po trzytygodniowym pobycie zagranicą, pożegnawszy i podziękowawszy za tyle miłych chwil hr. Chorinsky'emu wróciłem do kraju.

Gdy to piszę, stają mi znowu przed oczyma cudowne góry podkarpackie, wspaniała polana, a na niej wyśniony rogacz, i żal mi trochę, że już nie żyje, że skończyły się pełne trudu podchody. I żal mi minionych chwil, żal oczu, które niejednokrotnie spojrzały na mnie tkliwie w górskiej kolibie w Vucsko. Minęło to wszystko, jak sen, co nie wraca.

Lecz na przyszły rok znowu będę w Vessely i Vucsko i znów będę bliżej nieba, stojąc na szczycie wysokiej góry. I znów przeżyję sny, które pieścić będą moją żyłkę myśliwską, wrażenia, które odżywają we wspomnieniach perłami życia, tak dokładnemi, jak były przeżycia.

Dwa lata temu, gdy po raz pierwszy polowałem na jelenie na Węgrzech i teraz, gdy trzy tygodnie spędziłem w górach w Czechosłowacji, zdawało mi się, że wstąpiłem w jakiś inny świat, oderwany od wszystkiego, co tchnie życiem codziennem, tam w górach żadna troska nie przygniatała mej myśli, jedynie troska o zdobycz, troska o zdobycie czegoś niepowszedniego była moją myślą. Przez te trzy tygodnie byłem wolny od wszystkiego. Jak ptak w przestworzach, tak ja w górach zabłąkany, piłem pełnym haustem z puharu przyrody nektar najwyższej rozkoszy, jaką mogą się stać przeżycia łowieckie.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Przedruk i reprodukcja fotografij zastrzeżone.

Wracaliśmy do chaty, spotykając na wzgórzu, u stóp jeziora, liczne tropy jeleni. Zaraz po śniadaniu, komfortowo w naczyniach i na kuchence trapera sporządzonem, udałem się z Larsenem w okoliczne lasy, usiłując najświeższym tropem podejść jedno ze stad jelenich i rozstrzygnąć mój zakład z Norwegiem.

Poszliśmy pieszo. Ani mnie, ani też Larsenowi w jego czerwonym wełniaku tego dnia mimo wysiłków nie udało się zbliżyć do zwierzyny i choć ślady były liczne, wróciliśmy do domu przed zmierzchem bez żadnego rezultatu.

Następnego dnia przeżyliśmy przygodę, której rezultaty w następstwie udowodniły, że Ole, przygadując o przysłowiowem szczęściu zielonych *(green horn)*, miał częściowo słuszność. Bowiem w ciągu całego okresu naszej wędrówki, która ciągnęła się już oddawna, na szlaku naszym coprawda często spotykaliśmy tropy niedźwiedzi bądź czarnych, bądź też grizzly, ale były to ślady dawno już odciśnięte na śniegu lub na gliniastym gruncie. A mając na widoku i obserwując barany skalne, nie chcieliśmy rozpraszać się i tracić czas, według mniemania Norwega, naprózno i starym tropem kusić się o podchód niedźwiedzia. Zdaniem mego towarzysza był to trud, obliczony zgóry na niepowodzenie. Musieliśmy jedynie ufać przypadkowi, który jest najlepszym łowczym reżyserem w takich wypadkach.

Aczkolwiek aura zaczęła nam okazywać swoje względy, bo lato indyjskie, ostatniemi skośnemi promieniami słońca niekiedy tak przygrzewało, że południowe stoki i kotły wśród skał osłonięte czerniały, obrębione wierzchem bielą śniegu i lodu, jednakże absolutnej pewności, że niedźwiedź już na dobre zaległ na sen zimowy w gawrze, mieć nie można było. Dlatego też towarzysz mój, wierzę w to, życząc mi z całą pewnością powodzenia i starając mi się w tem dopomódz wszelkiemi siłami, żadnego z tropów niedźwiedzich nie podejmował, a braliśmy to, czem nas darzył los, ukazując na horyzoncie stadka baranów skalnych.

Niejednokrotnie widząc w glinie lub na śniegu odciśnięte łapy niedźwiedzia, lub też przechodząc koło dołów wydrążonych, napełnionych wodą, w których grizzly tak często i chętnie zażywa kąpieli, prosiłem i namawiałem Ole na zapolowanie ze mną, ale zawsze spotykałem się z odpowiedzią, że tropy te są przestarzałe i tylko bezowocnie czas nam zabiorą. Zresztą i ja—każdy myśliwy zrozumie moje uczucie—nie mając dotychczas barana skalnego, nie przeciwstawiałem się zbyt silnie woli Norwega. Miałem doń zupełne zaufanie. Człowiek ten okazywał mi tyle serdeczności był dla mnie tak dobrze usposobiony, do tego stopnia zżyliśmy się ze sobą i zrozumieli, że nawet przez myśl nie mogło mi przejść, aby w jakikolwiek sposób wyłamać się z pod jego doskonałej i troskliwej opieki.

Gdy Norweg powiedział, że trop jest przestarzały, to mi wystarczało. Jak się później okazało, miał on w zupełności rację. Bo pójść śladem niedźwiedzia, nawet najświeższym, jesienią, bez pomocy doskonale do tego ułożonych psów jest prawdziwą loterją. Co innego wiosną, kiedy można obserwować go na wachlarzowatych odsypach górskich, jak żeruje i wówczas zgóry ułożyć plan podchodu, biorąc pod uwagę kierunek wiatru i trzymając sylwetę M. Browna na oku, a co innego iść śladem niedźwiedzim, który o tej porze nieodmiennie prowadzi w gąszcze, bo przecież łoże niedźwiedzie napewno już jest przygotowane na sen zimowy i bajecznie dobrze zamaskowane. A nie jest ten miś kanadyjski tak naiwny, aby szlak swój wytyczyć dla wygody swoich prześladowców wprost do gawry.

Był jasny, ciepły, cichy ranek, kiedy, niosąc dwa wiaderka pełne wody, przeznaczonej do mycia, ścieżką z jeziora szedłem do chaty traperskiej. W gąszczu leśnym słychać było, jak skrzydlaci mieszkańcy tego raju, furkocząc, wyrażają jazgotem swoje zadowolenie z życia. Górą czerniała plama kruka *(crow)*, który swoim chrapliwym odzewem przetykał i mącił ten błogostan. Było wcześnie jeszcze. W drzwiach naoścież otwartej chaty stał Ole, pilnując smakowitości, skwarzących się na płycie kuchenki i piekąc

w „duchówce" placuszki z mąki pszennej na śniadanie. Wtem uszu moich doleciał z przeciwległej strony jeziora zawodzący poszczek kujoci. Zaczęliśmy się wsłuchiwać. Norweg, w oczekiwaniu następnej serji kujociego płaczu, naśladując go, schylił się ku ziemi i, przyłożywszy dłonie do ust, głośno zaskowytał, wabiąc. Teraz już wycie kujota rozlegało się ciągle, z małemi tylko przerwami.

Jedliśmy śniadanie w takt solisty leśnego, zastanawiając się, co jest przyczyną tego koncertu o tak niezwykłej porze. Rancher, pałający mściwością dla wilczego rodu, gdyż niejedna jałówka z licznych jego stad stawała się łupem tych złodziejaszków, lub też w wyjątkowo szczęśliwych okolicznościach żywot swój ocalała, zostawiwszy połowę, a nieraz i cały ogon w drapieżnych szczękach tych psiaków, ruszył ze mną, aby kujota podejść i ustrzelić.



Mały czarny.

Okrążając brzegiem jezioro i kryjąc się poza drzewami, łoziną i wykrotami, poszliśmy w kierunku głosu... Ostrożnie, gąszczem, wolno i unikając przeszkód, posuwaliśmy się naprzód, pilnie wypatrując, aby zobaczyć, jak przy brzegu otwartego zwierciadła wody, na lodzie, smętny ten śpiewak, uniósłszy krótką, szpiczastą mordę ku górze, siedząc, głośno zawodził. Uniosłem sztucer i, ostrożnie oparłszy go o sterczącą gałąź olchy, już miałem na muszce, kiedy Ole, trąciwszy mnie lekko, zwrócił moją uwagę na odciśnięty w gąszczu na śniegu pięciopalczasty, szeroki, prawie ciepły jeszcze i doskonale zachowany ślad łap grizzly.

— Stop, Mat! — szepnął mi w ucho. — Będzie coś więcej ciekawego, niż ten pokurcz wilczy. Ten kruk, który w górze się drze, i ten kujot, dużo mi mówią.

Jestem pewny, że tu gdzieś blisko musi być jedna ze sztuk mego bydła, zatonięta latem w bagnie. Przypuszczam, że grizzly odpędził tego psiaka od padliny i stąd to niezadowolenie. Niedaleko powinniśmy znaleźć ślady uczty i z tego wywnioskujemy, jak często drapieżniki pożywiają się tutaj. Na tej podstawie będziemy snuć dalsze wnioski i plany.

Mimo kilkogodzinnych wytrwałych poszukiwań w przybrzeżnym gąszczu i na bagnie, które było w niektórych miejscach odtajałe, błądząc labiryntem i kruczkami ścieżek kujocich i niedźwiedzich, nie mogliśmy odnaleźć zatoniętej sztuki.

Wróciliśmy do domu i, napełniwszy plecaki nasze najkonieczniejszym sprzętem i pożywieniem, udaliśmy się w kierunku świeżego tropu grizzly, aby w ciągu trzydniowej wędrówki, stale jego śladem dojść do przekonania, że niedźwiedź nie pozwoli zbliżyć się do siebie na strzał. Zaprowadził on nas w taki gąszcz i chaos plątaniny gałęzi, wiatrołomów, skał, rozpadlin, topielisk i zwałów drzewnych, że każde 50 yardów dosłownie było zdobyte niezwykłym wysiłkiem. Pot rosił czoło i wygryzał oczy.

Często na pewnych wzniesieniach widzieliśmy po śladach jego łap, jak grizzly, odwracał się nosem do nas, wietrząc, aby później iść spokojnie naprzód, nieraz nocując pod jakimś wykrotem, odległym od naszego obozowiska w lesie zaledwie o 300 - 400 yardów, lub też, okrążywszy nas, wracał na poprzedni swój trop i tak klucząc, dosłownie bawił się z nami w „ciuciubabkę".

Byliśmy już obydwaj pomęczeni do ostateczności i tak zaplątani w tym lesie, że tylko cudownemu instynktowi i orjentacji Norwega można było zawdzięczać, że po wydostaniu się później ponad granicę lasów, na grzbiet masywu górskiego, byliśmy zorjentowani, jak daleko odsunięci jesteśmy od chaty Magdziaka.

Ogarnęło nas już zniechęcenie. Waliliśmy się formalnie z nóg ze zmęczenia, tropiąc od świtu do późnej nieraz nocy naszego niedźwiedzia. Niekiedy w odległości zaledwie 50-u yardów od siebie, mając między sobą ślad niedźwiedzi, z trudem mogliśmy jeden drugiego odnaleźć, aby powziąć wspólne postanowienie.

Był to wysiłek nietylko fizyczny, ale również silne napięcie nerwów, gdyż, przyczajony za jakąś kłodą czy złomem skalnym, mister Brown mógł nawzajem zainteresować się naszemi osobami. Szczegółu tego, mimo wszystko nie można było jednak lekceważyć. Niedźwiedź dróg nie wybierał. Często, pnąc się w górę, po stromiznach, nagle zmieniał decyzję i kierunek jego drogi zawracał, i szedł w dół, hen, aż ponad jezioro, aby po pewnym czasie znowu ciągnąć nas pod wierzchołki górskie, gdzie, nie wychylając się ani na odrobinę z gąszczu, prowadził dalej i dalej. W przejściach wyjątkowo splątanych i ciasnych Norweg rysim swoim okiem dostrzegał pęczki kudłów niedźwiedzia i, szczerząc do mnie zęby, chytrze uśmiechał się:

— Mat, wytrzymaj, jedyna okazja, będziemy go mieli. Ten albo żaden. Jeżeli w ten sposób nie da się podejść, trzeba mu będzie „stół nakryć". Przekonałeś się już teraz, że jeleń mego kubraka nie lęka się."

I rzeczywiście, zakład przegrałem sromotnie, gdyż obecnie, idąc tropem niedźwiedzia, nieraz w odległości trzydziestu yardów wykwitał wieniec jelenia i płowa jego szata, mimo że harmonijnie zlewała się z otoczeniem, wyraźnie była widoczną. I tylko całym wysiłkiem woli musiałem powstrzymywać się, aby hukiem strzału nie płoszyć niedźwiedzia, stale łudząc się, że przecież gdzieś, na odkrytej polanie, ukaże się on wkońcu i dopełni swojem futrem, tak przezemnie pożądanem, moich trofeów. Sunąc lekko, jak duch, stawał jeleń nieruchomo, jak posąg, przyglądając się nam, a nasyciwszy swoje widokiem dwóch łazików, trzaskiem tylko gałązki, a czasem głośnem parsknięciem, znacząc dalszą swą drogę, znikał.

(D. c. n.)

M. G.

MYŚLISTWO W MAŁEM ŁOWISKU*).

Zanik potężnych okazów przyrody uwydatnia się zwolna lecz wytrwale na całej kuli ziemskiej, a w przyśpieszonem tempie w Europie. Pod działaniem cywilizacyjnem ręki ludzkiej zmniejszyły się przestrzenie jezior i moczarów, bezbrzeżne—zdawało się — stepy, puszcze i dżungle, a z niemi znikły lub ustępują kulturze... ludzkiej pozostałe jeszcze potężne okazy fauny. O tem nieuniknionem przeobrażeniu mówi historja i teraźniejszość, gdyż odbywa się ono przed naszemi oczami. Ogromne kiedyś obszary ojczyste straciły na zawsze tura i żubra, a twarda rzeczywistość współczesna wciągnęła na listę wymarcia dalsze z pozostałych zwierząt łownych, które sztucznie już tylko utrzymują się przy życiu i na wolności.

Nie łudźmy się! W bliższej lub w dalszej przyszłości smutny los tura czy dzikiego konia, rosomaka czy sobola, czeka nieuchronnie niedźwiedzia i łosia a nawet wilka, rysia, żbika, kozicę i bobra. Niema z pewnością hodowcy-myśliwego, chociażby zamieszkiwał pierwotną przyrodę, jaką są obfite knieje Polesia lub Karpat, którypy nie stwierdził, iż dotychczasowy stan, sprzyjający jeszcze rozwojowi zwierzyny, lecz będący w niezgodzie z kulturą ludzkiej przedsiębiorczości, nie da się utrzymać na dalszą metę. Możemy tworzyć parki narodowe, jak głośny amerykański park Yellowstone i tam hodować pewne rodzaje zwierząt, także i żubra, lecz już tylko jako osobliwość przyrodniczą, a nigdy jako objekt myśliwski.

Mówiąc o zaniku pewnych rodzajów fauny, zastanówmy się nad dolą naszego jelenia, daniela i dzika. Zwierzęta te utrzymać się jeszcze mogą, chociaż w zmniejszonej już liczbie i przez czas nieprzewidziany, jedynie w wielkich lasach państwowych i prywatnych obszarach ziemskich, o ile one wogóle, wobec idących niewesołych prądów, będą się mogły ostać w przyszłości. Systematyczna likwidacja „obszarów dworskich" drogą parcelacji poczyni w najbliższej przyszłości takie postępy, że dotychczasowe rezerwaty i wielkie lasy, zostaną otoczone wieńcem chłopskich osadników, którzy dalsze istnienie szlachetnego zwierza uczynią niemożliwem. Tylko wielki właściciel ziemski może pogodzić się ze stratą, wyrządzoną przez jelenie i dziki. Gospodarz na małym obszarze nie ma dla szlachetnej pasji myśliwskiej zrozumienia, bo mieć go nie może.

Zachodnie dzielnice Polski, mające wysoką kulturę ziemi, są przedewszystkiem wystawione na eksperyment oddania majątków ziemskich wywłaszczeniu, a co za tem idzie, pozostawienia proletarjuszom myśliwskim dalszego losu resztek szlachetnego zwierza łownego. Takiej przyszłości naszych łowisk (zwłaszcza, że nie znano jeszcze prawa wywłaszczenia) nie mógł przewidzieć nestor wielkopolskich myśliwych p. Władysław Janta Połczyński, obejmując przed 60 latami skromną, zaniedbaną i bezleśną posiadłość o obszarze 412 ha. Jest to majątek Redgoszcz w powiecie wągrowieckim. Ale jego umiłowanie przyrody i myślistwa, wysoka kultura zachodu i estetyka, złączyły się, stwarzając z kawałka opuszczonej ziemi rezerwat. Wł. J. Połczyński dał przykład, jak mimo trudnych warunków, t. j. małego obszaru i niesprzyjającego sąsiedztwa, (8/10 otoczenia małorolnymi) nietylko utworzyć można skromnemi środkami zajmujący dla oka i kulturalny obraz, lecz co najważniejsze, ponętne dla myśliwego łowisko.

W lipcu 1876 r., kiedy p. Wł. J. Połczyński objął z rąk dzierżawcy swą dzisiejszą posiadłość, nie były wówczas jeszcze w ogólnem użyciu aparaty fotograficzne, któreby pozwoliły na zachowanie pamiątki z chwilą objęcia w posiadanie skromnego dziedzictwa. Wówczas zadowolić się należało rysunkiem, który też wykonał p. Połczyński z natury; przedstawia on miejsce pod ogród, zaś w odległej perspektywie widzimy dalsze pola i kilka budynków folwarku na wzgórzu. Niema tam jeszcze dworu na pagórku, a kilkanaście wierzb i grupa młodych drzew owocowych reprezentuje cały drzewostam. Zanim przystąpię do zobrazowania tworzącej się na tem miejscu metamorfozy i do przedstawienia spraw przyrodniczo-łowieckich, wspomnieć należy o realizmie, który stworzył poczucia kulturalne i ekonomiczne właściciela, a bez których nie byłby w stanie zorganizować, a tem mniej utrzymać skromnego dzieła swego upodobania. Rolnictwo je finansowało i jemu należy się wspomnienie.



Kaplica św. Huberta w parku redgoskim.

Chcąc więc zrozumieć dalsze poczynania, skierowane ku tworzeniu właściwego łowiska, należy dać kilka objaśnień o stanie, w jakim nestor ziemian wielkopolskich objął warsztat roliy, tak pod względem pola, łąki i wody, jak i zwierzyny, znajdującej się na tych przestrzeniach.

Rolę zastał niewydrenowaną i zaniedbaną, łąki zaś w znacznej części były zdewastowane kopalnią torfu, a trzydziestohektarowe jezioro ogołocone z wszelkiej flory. Wszędzie widoczne były oznaki dzikiej, pastwiskowej gospodarki. Zwierzostan zaś tych obszarów był też niewesoły: na jeziorze tylko był dość dobry stan ptactwa wodnego, na polach kuropatwy i przepiórki, na łąkach bekasy, ale pozatem — prócz niewielkiej ilości przedstawicieli zajęczego rodu, — nikt tu nie widział ani jednego dzikiego, czworonożnego stworzenia. Nawet sarny polne nie zdołały się tu osiedlić.

Pierwszem więc staraniem właściciela była przedewszystkiem meljoracja i uszlachetnienie łąk, nieodzowne w interesie żywego inwentarza gospodarczego, jak i zwierzostanu. Toteż niebawem na zdrenowanych terenach redgoskich znalazły się sarny polne. Ten niepożądany dla prawdziwego amatora myśli-

*) Majątek PP. Władysławostwa Janta Połczyńskich w Redgoszczy oraz tamtejszą gospodarkę łowiecką poznałem naocznie. Tam z okien pałacu strzelałem do dzikich królików, a z łódki na uroczym stawie — do wszelakiego ptactwa wodnego i błotnego. Za otwarte dla mnie szeroko wrota i serca: Bóg zapłać! *(Przyp. aut.)*.

stwa nabytek i twór sztucznej asymilacji zwierza tego do pól niezalesionych, starał się p. Połczyński wyhodować i zamienić w sarny stałe i leśne przez założenie kilkunastu remiz. Starania w tym kierunku odniosły zupełne powodzenie: odtąd stada sarn stale utrzymują się w remizach.

Nie każdy rolnik ma ochotę przeznaczyć kilka lub kilkanaście mórg na remizy, zwłaszcza gdy nie jest zbyt zamiłowanym myśliwym. Ale niech rozejrzy się po swoim polnym warsztacie a znajdzie tam z pewnością jakieś dołki, łączki, nienadające się do meljoracji, ostrówki trudne do uprawy i t. p. nieużytki; można je wszystkie łatwo zalesić, dobierając odpowiednie do gruntu i położenia — wysadki drzewne, zwłaszcza takie, których porost jest szybki, jak olchy, brzozy i wierzby, a jeżeli gleba dobra, nie zapominając także o świerkach. P. Połczyński dla prędszego uzyskania remiz obsadził tymczasowo odpowiednie do tego miejsca bulwami i heljantusem, jako najwłaściwszą namiastką, dającą zwierzynie ukrycie oraz smaczne pożywienie. Na tych namiastkach rosną obecnie w majątku redgoskim okazałe już drzewa, dające nietylko wystarczający dla całej majętności opał, lecz częściowo drewno porządkowe dla gospodarstwa.



Domek zakopański — miejsce śniadań na polowaniach w Redgoszczy.

Największa z utworzonych remiz, założona na zużytem torfowisku, przeznaczoną została na bażantarnię. Leży ona w środku obszaru majętności, gdzie przepływa strumień przez staw, zarosły trzciną i szuwarem; tu żyją bażanty w dzikim stanie. Założone początkowo siatkowe ogrodzenie przeciwko drapieżcom, tym największym szkodnikom bażantarni, zniesiono jako niepraktyczne; w wielu bowiem wypadkach sarny uderzały, a nawet i zabijały się o te przeszkody. W miejsce tego ogrodzenia założono na moście, w środku remizy, skrzynkową pułapkę, spełniającą znakomicie swoje zadanie. Pułapka ta ustawiona jest z boku pokładu mostowego, resztę zaś szerokości mostu założono chróstem dla przeszkodzenia szkodnikom szukania przejścia po innej drodze. Zadanie swoje spełni całkowicie skrzynkowa pułapka jedynie wówczas, kiedy droga, prowadząca przez bażantarnię do mostu, będzie zawsze wolną od chwastów i traw, a nawet wysypaną żwirem.

Domek w stylu zakopańskim, zbudowany przez miejscowego kołodzieja, a położony w środku bażantarni, służy różnym celom: jest jadalnią w czasie polowania i jednocześnie miejscem obserwacyjnem karmionych w porze zimowej bażantów, a najczęściej służy też do podwieczorkowych przyjęć gości, którzy, ciekawi redgoskich łowieckich osobliwości i okazów przyrody, zjeżdżają tu, zachęceni serdeczną gościną gospodarzy.

Wszystkich tych, którzy — zainteresowani w sposób mniej ideowy, lecz realny lub rekordowy—chcieliby zapoznać się z „małem łowiskiem", dowiedzieć się o ilościach zabitych rocznie kozłów, o pokotach zajęcy, bażantów, kaczek, kuropatw i t. p. pomniejszych okazów fauny krajowej, niech zaspokoi fakt odznaczenia na wystawach łowieckich trofeów, zdobytych w „małem łowisku", srebrnemi i złotemi medalami.

Wzmianka należy się jeszcze widokom, które stworzyło upodobanie miłośnika myślistwa i przyrody w poznańskiem *tusculanum*, otoczywszy je naprzemian dzikim parkiem i kulturą wypielęgnowanego ogrodownictwa na małym skrawku posiadłości. Widzimy tam zajazd z pałacykiem we francuskim stylu, dalej w tarasach położony, figurami i balustradami ozdobny widok na odległy, w stylu starogreckim zbudowany, „belweder". Postawiony na wzgórku „norweski kiosk" prowadzi do „ojcowskiej dolinki", skąd z najwyższego wzniesienia roztacza się rozległy widok na malowniczo obramowane jezioro. O myśliwskiem zamiłowaniu założyciela w obrębie ogrodniczych zakładów mówi domek strażniczy w „Zakopanem" a pełniący jednocześnie funkcję łazienki, ponadto kapliczka poświęcona św. Hubertowi i wreszcie 36 lat bez przerwy istniejący zwierzyniec z danielami.

Sześćdziesiąt lat pracowitego żywota na jednym kawałku ojczystej schedy — to niezwykle długi szmat życia. Był więc czas, aby tę ojcowiznę pokochać bezgraniczną miłością; zrozumiałe też są dumki, które trwożnie ulatują w nieznaną przyszłość... Sześćdziesiąt lat potrzeba było, aby utworzyć i utrzymać skrawek drogiej ojczystej wielkopolskiej kultury rolnej, walcząc w różnych epokach z różnymi niszczycielami.

Celem niniejszego artykułu nie jest specjalna chęć okazania Arkadji dla bogini Djany; dyktowała mi go miłość dla sprawy łowiectwa i myśl zachęcenia innych do wytrwania na stanowisku gospodarza większej posiadłości. Pragnąłem wykazać na wzorowem gospodarstwie Władysława Janty Połczyńskiego, że nie potrzeba nam jeszcze biegać po pustych polach, by strzelać do skowronków, lub zdobywać Sudan czy inną Abisynję, aby polować czas niejaki na hipopotamy. Niechaj tylko każdy prawidłowy myśliwy i miłośnik przyrody, bez względu, co losy zdarzą, zakłada i buduje „małe łowisko", a da mu ono zawsze pełnię rozkoszy myśliwskich.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, na III kwartał, lub na miesiąc wrzesień.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 3 SIERPNIA 1936 ROKU.

Obecni P. P.: Przewodniczący Wacław Szperling, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Dr. Ignacy Grymiński, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Inż. Kazimierz Tołłoczko; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 22 czerwca r. b. zatwierdzono bez zmian.

W łączności z protokółem tym, P. Red. Garczyński oświadczył, iż w sprawie memorjału o potrzebie zmian podatku komunalnego od wykonywania prawa polowania — interwenjował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Obecnie złożyć należy Ministerstwu projekt nowego statutu wzorowego tego podatku.

Wydział Wykonawczy uprosił P. Red. Garczyńskiego o opracowanie projektu wspomnianego statutu podatkowego.

Od P. Prof. Gieyszora wpłynął wniosek na piśmie o zmianę dotychczasowego zwyczaju publikowania w „Łowcu Polskim" protokółów posiedzeń władz Związku.

Po dyskusji, w której wypowiedzieli się P. P.: Red. Garczyński, Skrzypek, Szperling, Gędziorowski i Inż. Knothe, Wydział Wykonawczy uznał, iż protokóły posiedzeń władz Związku winny być nadal publikowane, natomiast pisane być winny zwięźlej oraz bardziej skracane przed drukiem.

Z taką opinją wniosek P. Prof. Gieysztora postanowiono przedłożyć Zarządowi Związku do decyzji.

Wydział Wykonawczy postanowił wypożyczyć Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu na czas Wystawy i Pokazu wagę do rogów.

Wydział Wykonawczy zaznajomił się z orzeczeniem Sądu Łowieckiego z dnia 24 lipca r. b. w sprawie między p. Stanisławem Downarowiczem i Towarzystwem Racjonalnego Polowania w Radzyminie.

Odpisy tego orzeczenia zostały stronom przesłane.

Po trzykrotnem ogłoszeniu kandydatur w „Łowcu Polskim" mianowani zostali Delegatami Związku:

w województwie białostockiem —
Szczuka Józef — Ostrów Mazow., Zalesie
— na powiat Ostrów Maz.;
w województwie kieleckiem —
Łaszkiewicz Tomasz — Solec Zdrój, Zborów,
— na powiat Stopnica;
w województwie lubelskiem —
Gomuła Tadeusz — Michów Lubartowski,
Seroczyński Paweł Władysław — Lubartów,
Walencik Aleksander — Lubartów,
— wszyscy na powiat Lubartów;
w województwie łódzkiem —
Kokczyński Marceli — Zduńska Wola, Świerzyny,
Szneider Jan — Łask, Karczew,
Walicki Bronisław — Zelów, Krześlów,
wszyscy na powiat Łask;
w województwie nowogródzkiem —
Borycki Romuald, mjr. — Baranowicze, 26 Pułk Ułanów
— na powiat Baranowicze;
Henszel Ludwik — Krupa, Wołdaciszki,
Moraczewski Wojciech — Subotniki, Zemosław,
Skinder Stanisław — Wawiórka, Bogdanowszczyzna,
— wszyscy na powiat Lida;
w województwie poleskiem —
Zawadzki Aleksander — Malkowicze, Mała Płotnica,
— na powiat Pińsk;
w województwie warszawskiem —
Cichocki Zygmunt — Bulkowo, Plichowo,
Grabowski Karol — Drobin, Setropie,
Halik Stefan — Bielsk Płocki, Kostary,
Rościszewski Stefan — Staroźreby, Bromierczyk,
— wszyscy na powiat Płock;
w województwie wileńskiem —
Świętorzecki Zygmunt — Lebiedziew, Malinowszczyzna,
— na powiat Mołodeczno.

Na wniosek Oficerskiego Klubu Myśliwskiego w Gdyni oraz w porozumieniu z Pomorskiem Towarzystwem Łowieckiem — Wydział Wykonawczy zatwierdził kandydaturę Kmdr. Ppor. Henryka Kłoczkowskiego — na Delegata Związku w powiecie morskim województwa pomorskiego.

Przyjęto do wiadomości rezygnację Władysława Krogulskiego z mandatu Delegata Związku na powiat Bielsk Podlaski, województwa białostockiego.

Wydział Wykonawczy nadał —
Złoty Medal Zasługi Łowieckiej —
Józefowi Kiszkurnie, mistrzowi świata w strzelaniu do rzutków;
Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej —
Piotrowi Filipczykowi, st. posterunkowemu policji państwowej w Młodzieszynie (pow. sochaczewski, woj. warszawskie) i Franciszkowi Pokorskiemu, st. posterunkowemu policji państwowej w Sochaczewie.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU ŁOMŻA.

Ogólny stan łowiectwa w powiecie łomżyńskim (wojew. białostockie) w roku sprawozdawczym, acz nieznacznie, podniósł się jednak dzięki zabiegom tak poszczególnych myśliwych-hodowców, jak i niektórych towarzystw łowieckich, przy jednoczesnem współdziałaniu Zarządu Powiatowej Rady Łowieckiej i poparciu miejscowych władz administracyjnych.

Zwierzostany przedstawiają się zupełnie zadowalająco. Sarn przybywa stale. Zajęcy, pomimo zmarnowania się pierwszych miotów skutkiem mrozu, było sporo. Kuropatwy w niektórych łowiskach doszły do fantastycznych, jak na tutejsze stosunki, ilości, przewyższając niekiedy stan tych ptaków na zachodzie kraju. Kaczek, po dawnemu, jest niewiele. Cała zwierzyna przezimowała doskonale dzięki lekkiej i prawie zupełnie bezśnieżnej zimie. Młodych zajączków widuje się sporo, a kury, rozbite w pary już od kilku tygodni, zrywają się gęsto.

W sezonie ubiegłym sprowadzono do Zaskrodzia i Korzenistego po 30 bażantów, które już w pierwszym roku dały dwadzieścia parę kogutów zabitych. *Powiatowa Rada Łowiecka sprowadziła 30 zajęcy, rozdzielając je pomiędzy trzy kółka łowieckie.* Zające zostały puszczone na tereny tych kółek i polowanie w tych łowiskach było przez cały rok zamknięte, co dało już na cko doskonałe wyniki. Na podniesienie się stanu zajęcy wpłynęło znakomicie masowe wybicie psów w wielu wsiach, nawiedzonych wścieklizną. Wścieklizna szerzy się jednak dalej przez zupełne niestosowanie się włościan do zarządzeń władz, wskutek czego psy wybijane są dalej i w bieżącym roku.

Walka z kłusownictwem w niektórych gminach dała już doskonałe rezultaty, zdarzają się jednak okolice, w których kłusownictwo wzrosło. Na ten temat prowadzone są obecnie narady z Powiatową Komendą Policji Państwowej. Tutaj musimy, jak corocznie, podkreślić ważność kontrolowania handlu bitą zwierzyną, co jest, niestety, przy obecnym stanie rzeczy — ogromnie utrudnione.

Spraw o przekroczenia prawa łowieckiego wpłynęło do miejscowego starostwa w okresie sprawozdawczym 238. Rozpatrzono 208, z czego wyroki uniewinniające zapadły w 39 sprawach, umorzono 5, pod dozór rodzicom oddano 6 małoletnich przestępców, areszt bezwzględny zastosowano w 37 sprawach, w tem: na 12 dni w jednym wypadku, 14 dni — 1, 15 dni — 2, 20 dni — 11, 25 dni — 2, 28 dni — 1, 30 dni — 8, 40 dni — 2, 60 dni — 9 spraw. Grzywną ukarano w 121 sprawach, w czem: na zł. 10 — 7, zł. 20 — 7, zł. 25 — 4, zł. 30 — 12, zł. 40 — 6, zł. 50 — 17, zł. 60 — 12, zł. 75 — 1, zł. 80 — 9, zł. 100 — 40, zł. 120 — 1, zł. 200 — 4 i zł. 300 w 1 sprawie. Broni myśliwskiej skonfiskowano 58 sztuk, wnyki i sidła w 14 wypadkach, a w 13-tu wypadkach — same łuski, proch i spłonki.

Kart łowieckich wydano na terenie powiatu 80 (w roku 1934 — 143).

Wyniki polowań za rok 1935 znów nie są kompletnie zestawione, a to skutkiem niedbalstwa kilku delegatów gminnych, którzy, pomimo kilkakrotnych upominań, nie raczyli do tej pory nadesłać swych sprawozdań. Musimy się przeto ograniczyć do zestawienia wyników z 12 gmin na 19 gmin w powiecie i bez uwzględnienia lasów państwowych, skąd także sprawozdanie nie nadeszło.

Na terenie owych 12 gmin ubito ogółem zwierzyny użytkowej 7.030 sztuk, w czem: zajęcy — 1939, kuropatw — 4.478, kaczek — 558, bażantów — 43 i 12 kozłów. Szkodników zabito jednocześnie 853 sztuki, w czem: psów (nie licząc wybijanych skutkiem wścieklizny) — 205, kotów — 143, lisów — 25, borsuków — 5, jastrzębi — 66, wreszcie wron, srok i innych — 409.

INŻ. KONSTANTY KOMIEROWSKI,
KAZIMIERZ KULCZYŃSKI
Delegaci P. Z. S. Ł. na pow. Łomża.

DOBRE I ZŁE.

W nr. 27 z dnia 5 lipca b. r. tygodnika „Na posterunku", organu funkcjonarjuszy policji pastwowej, wychodzącego w Warszawie, wydrukowany został dłuższy artykuł p. t. „Kłusownictwo na łosie". Praca ta jest tem ciekawszą, jako studjum danego zagadnienia, będącego nieustającą bolączką kół hodowlano-myśliwskich, że wyszła z pod pióra obserwatora na terenie, mającego stałą styczność z tą sprawą, a do tego posterunkowego policji państwowej, p. Walentego Drzymały.

Autor zaznajamia swych kolegów z metodami i sztuką kłusowników na łosie, wytrawnych specjalistów, i zwraca uwagę na najniebezpieczeniejszych w tym zakazanym zawodzie, mianowicie niesumiennych gajowych, którym powierzono właśnie ochronę zwierzostanu na niejednokrotnie bardzo rozległych, trudnych do skontrolowania obszarach. Powołuje się przytem na przykład z 1933 r., gdzie szczęśliwie udało się wykryć taki wypadek na terenie Ordynacji Dawidgródeckiej.

Epilog tego odkrycia miał miejsce w sądzie, gdzie wina oskarżonego, gajowego S., została udowodniona, poczem zapadł wyrok, skazujący przestępcę na 4 dni aresztu i 280 zł. grzywny z zamianą w razie nieściągalności na 3 miesiące aresztu, oraz na zwrot kosztów sądowych.

*

W miesięczniku, poświęconym popularyzacji nauk przyrodniczych i technicznych, p. t. „Przyroda i technika", w Nr. 6 (czerwcowym) z r. b. znajdujemy artykuł p. t. „Życie zwierzyny łownej dawniej i dziś" inż. Włodzimierza Lindemana, żywotnego młodego publicysty, który wiedzę przyrodniczo-łowiecką szerzy stale na łamach różnych czasopism, do poświęconych dla młodzieży włącznie.

Artykuł ten jest rozwinięciem przed czytelnikiem prawa przyrodniczego, które sprawia, że poszczególne ośrodki życia, łącząc się pomiędzy sobą w całość nieprzerwaną zapomocą łagodnych przejść, stwarzają przytem zespolenie asocjacyj roślinnych i zwierzęcych, nazwanych biocenozami. Na tak utworzonem tle naturalnych warunków życiowych dla różnych przedstawicieli fauny, występujących w nich w zależności od charakteru danej biocenozy, kreśli autor stosunek tych środowisk do jej mieszkańców z pośród zwierząt i ptaków łownych, przyjmując narazie pod uwagę posiadające większą wagę ekonomiczną, lub będące gatunkami rzadszemi, o większej wartości naukowej. Omawia więc wymagania biocenotyczne zwierzyny różnych gatunków.

Na zasadzie tego prawa w przyrodzie autor dzieli zwierzynę łowną na 3 grupy (czwartą pośrednią pomiędzy zasadniczemi 1-szą i 2-gą). W I grupie stawia zwierzęta, nieznoszące ingerencji człowieka, lub w bardzo nieznacznym stopniu przystosowujące się do kulturalnych jego poczynań; są to: łoś, kozica, bóbr, niedźwiedź, ryś, żbik, głuszec, pardwa, jarząbek, cietrzew, łabędź, gęś, drop i strepet; nieco mniej wrażliwe są: wilk oraz z ptactwa słonka, dubelt, kszyk i t. p.

Do II grupy zalicza takie gatunki zwierzyny, które korzystają ze starań hodowcy, lub przynajmniej nie reagują wyraźnie ujemnie na działalność gospodarczą człowieka; są to mianowicie: jeleń, sarna, zając i kuropatwa.

Pośrednie stanowisko pomiędzy temi dwoma grupami zajmują: dzik i lis, oraz wszystkie kunowate, z wyjątkiem borsuka i wydry, a także rozmaite kaczki.

Wreszcie do trzeciej grupy wprowadza gatunki aklimatyzowane, jak daniel, bażant, muflony, jelenie-wapiti i t. d.

Artykuł kończy szereg wniosków, idących po linji konieczności wydatnego chronienia niektórych gatunków, które z jednej strony, rozporządzając coraz mniejszemi obszarami odpowiednich środowisk biocenotycznych, zmuszone są cofać się przed naporem kultury. Mowa tu przedewszystkiem o łosiu, niedźwiedziu, rysiu, żbiku, puhaczu i orle przednim.

Następnie porusza Autor kwestję doniedawna uprawianego bezwzględnego tępienia wszelkich drapieżników, stwierdza jednak że czasy te w łowiectwie minęły i dziś prawo łowieckie, inspirowane wnioskami centralnej organizacji łowieckiej w państwie (P. Z. S. Ł.), a także doświadczenie poszczególnych myśliwych sprawiło, że nastąpił wyraźny przewrót w poglądach gospodarczo- łowieckich na tę kwestję i że pogląd ten pogłębia się coraz bardziej.

Wreszcie inż. Lindeman porusza przyczyny degeneracji, karłowacenia gatunków, wybuchających wśród zwierzyny epidemij, wadliwego kształtowania się poroża i t. d. I znów te zjawiska tłomaczy nieodpowiedniemi warunkami, jakie przy forsowaniu rozmnoży stwarza człowiek, konkludując, że hodowca w pierwszej linji winien liczyć się z wymaganiami biocenotycznemi każdego gatunku, nie przechodząc na dowolne kombinacje paszowe i t. p. w jednostronnem dążeniu do osiągnięcia często nienaturalnego przerostu łowiska zwierzyną.

Następnie porusza szereg wskazówek hodowlanych, opartych na najnowszych badaniach życia zwierzyny i jej potrzeb fizjologicznych.

Artykuł inż. Lindemana na łamach „Przyrody i techniki" posiada nietylko właściwy charakter naukowej pracy, lecz wkracza umiejętnie w dziedzinę propagandy łowiectwa i jego placówek wśród kół przyrodniczych.

*

W Nr. 8 miesięcznika „Przegląd rybacki" z sierpnia b. r. dr. Włodzimierz Kulmatycki zamieszcza pracę p. t. „ O obecności kormoranów w powiecie chojnickim".

W artykule tym znajdujemy wyliczenie różnych odmian kormoranów, spotykanych na terenie Polski, a także historyczne wspomnienia ich występowania w różnych okolicach kraju, oparte na zapiskach i dziełach wielu uczonych ornitologów polskich i zagranicznych. Są to przeważnie fakty podane ze sporadycznych obserwacyj, czynionych w ubiegłem stuleciu. Obecnie kormoran gnieździ się we współczesnych granicach Polski niezmiernie rzadko, wszystkie odmiany pojawiają się zasadniczo tylko przelotem.

W 1936 r. na jeziorach Laska, Książe, Długie, Parszczenica i Śluza na Pomorzu widywał autor kormorany pojedyńczo, lub nawet w stadkach, liczących do 11 sztuk. Kormorany, występujące w Polsce, należą przeważnie do formy subcormoranus, odznaczających się zielonkawym połyskiem swych czarnych piór, w przeciwieństwie do formy szwedzkich — o połysku niebieskawym. Według leśniczych pp. Szulca i Halamy z nadl. Laska, jak również długoletniego dzierżawcy grupy wymienionych jezior, p. Jana Gliszczyńskiego, kormorany nie są tu zjawiskiem bynajmniej spodarycznem, lecz przeciwnie stałem. Zalatują tu podobno one z lasu starobukowego, leżącego już poza granicą Polski, z polskiego Przechlewa (Pagdanzig), gdzie mają znajdować się ich liczne gniazda. Kormoranom tym grozi jednak wyniszczenie, bowiem właściciel Przechlewa przystępuje podobno do wycięcia lasu bukowego.

W dalszym ciągu podaje dr. Kulmatycki szczegółowy opis kormorana, sposób życia, rozmnoży i zwyczaje, zamieszcza podobiznę całego ptaka i sylwetki w locie w porównaniu z sylwetkami czapli i rybołowa.

Kormoran żywi się wyłącznie rybami, spożywając ich wielkie ilości dziennie, około 2 — 4 kg, czyli przeciętnie 600 kg w okresie swego 200-dniowego pobytu w Europie Środkowej w ciągu każdego roku. Z tego względu, z punktu widzenia rybackiego—kończy Autor — należy się energicznie przeciwstawić rozmnażaniu się kormoranów, jednakże z uwagi na to, że na ziemiach Polski występowanie tych ptaków ma charakter sporadyczny i ze względu na rzadkość, a także na specjalne piętno, jakie nadają krajobrazowi, tolerowanie ich jest raczej wskazane.

*

W tym samym numerze „Przeglądu rybackiego" znajdujemy krótki artykuł p. Kazimierza Stegmana p. t. „Hodowla ptactwa wodnego a rybactwo", w którym Autor dowodzi na mocy poczynionych doświadczeń z hodowlą kaczek na stawach wycierowych i mieszanych, przy unormowaniu ilości kaczek na 330 sztuk na 1 ha, że szkody bezpośrednie, jakie ptaki te wyrządzają w rybostanach, były dotychczas często wyolbrzymiane. Oczywiście hodowla ptactwa wodnego musi opierać się na intensywnem żywieniu go.

W tych warunkach obliczono, że szkody w rybostanach nie bywały większe, nawet na stawach wśród najmłodszych roczników, niż na stawach bez kaczek, przeciwnie, raczej zmniejszają się, co tłomaczyć należy tem, że kał ptasi, masowo pozostawiany w wodzie, sprzyja rozwojowi rybostanów, stanowiąc dobry czynnik nawożący dno stawów i pociągający za sobą dobre skutki w ilościowym i jakościowym składzie planktonu.

W wyniku wielostronnych doświadczeń, obejmujących również zmniejszenie upadku ryb z powodu choroby skrzel, uważa, że obecność hodowli ptactwa wodnego daje przyrost wagi ryb o ca 325 kg na 1 ha.. A zatem 1 kaczka (przy obsadzie 330 sztuk na 1 ha) powoduje przyrost mięsa rybiego o 1 kg w sumie wydajności danego terenu stawowego.

*

Od czterech miesięcy wychodzi w Warszawie nakładem Zarządu Głównego Rodziny Kolejowej dwutygodnik „Rodzina Kolejowa" — gazeta ścienna stowarzyszenia „Rodzina Kolejowa". Redaktorem tej jedynej w swoim rodzaju gazety jest znany ogółowi łowieckiemu p. Józef Władysław Kobylański.

Gazeta służy nietylko zawodowym i wewnętrznym interesom Stowarzyszenia, lecz także ogólnym kraju i zamieszcza streszczone wiadomości o wszystkiem, co może i powinno interesować jej czytelników. Zadaniem, jakie wytknął sobie jej Redaktor, jest trzymanie ręki na pulsie życia i aktualnych jego przejawów. Przy tej okazji „niepoprawny" ten myśliwy znalazł i tu możność i miejsce na wprowadzenie na łamy gazety — wiadomości z dziedziny łowiectwa, celem popularyzowania zasadniczych jego idei i wartości.

Dotychczas ukazały się tam dwa przyrodniczo-łowieckie artykuliki: w Nr. 4 z dnia 15 czerwca p. t. „Łoś, największy zwierz leśny" i w Nr. 7 z dn. 1 sierpnia p. t. „Zwiedzajmy Białowieżę", traktujący między innemi o historji żubra w tej puszczy.

Gazetę ścienną Rodziny Kolejowej zdobią liczne ilustracje.

Mając na uwadze, jak wielu aktywnych myśliwych podmiejskich rekrutuje się z pracowników kolejowych różnych dykasteryj i stopni służbowych, należy poczynaniu p. Kobylańskiego nietylko przyklasnąć, lecz nawet zachęcić go jak najbardziej do tego, aby kącik łowiecki w „Rodzinie Kolejowej" poprowadził bardziej w kierunku urobienia etycznego, prawidłowego typu myśliwego-kolejarza, zapomocą pogłębienia jego wiadomości przyrodniczych, fachowych (myśliwskich) oraz zwrócenia uwagi na sprawy etyki łowieckiej i organizacyjne.

*

Sierpniowy zeszyt „Morza" przynosi między innemi nowelę p. Wandy Brzeskiej p. t. „Lisia dola". Fabuła jest z punktu widzenia łowieckiego mocno naciągnięta, mówi bowiem o przypadku lisa, który z głodu je prawie z ręki rzucane mu przez litościwego chłopca-rybaka rybki. Nowela ta jednak posiada wielką wartość językową i folklorystyczną. Oddaje wspaniale gwarę rybacką z naszego wybrzeża i krajobraz. Umiejętnie też wysuwa najlepsze pierwiastki psychiczne autochtona tych ziem Kaszuby, który nosi jasną miłość i litość w sercu dla wszystkiego, z czem styka się w przyrodzie.

WUZET.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 23 „Łowca Polskiego" z r. b. zamieściliśmy interesujące nas szczegóły wyników międzynarodowych zawodów w strzelaniu do rzutków w Wannsee pod Berlinem.

W notatce tej zaszła omyłka, którą niniejszem prostujemy:

Do zespołu polskiego (4-ch zawodników), zgłoszonego do konkurencji w strzelaniu o Mistrzostwo Świata, należeli pp.: J. Kiszkurno, St. bar. Rosenwerth, St. Czerski (a nie W. Ziegenhirte) i St. Sztukowski. Wynik p. Czerskiego był 240/300.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

LE SAINT - HUBERT .

Nr. 2/1936. Str. 57. R. Reboussin *„Tajemnica życia zwierzęcego"*. — Autor, prowadzący badania nad intymnemi przejawami życia zwierząt, przytacza list jednego ze swoich korespondentów, p. H. Jacquemet, prezesa związku łowieckiego w Cher, podający ciekawą obserwację przenoszenia przez słonki piskląt. Pewnego poranka kwietniowego, przejeżdżając konno przez należący do niego las w Colombier, p. Jacquemet zauważył przelatującą w odległości kilku metrów słonkę, która w pionowo opuszczonych łapkach dźwigała jakąś puszystą kulę. Po instynktownem zatrzymaniu konia p. J. był świadkiem, jak słonka opuściła się na ziemię, w miejscu mocno naświetlanem przez słońce, i złożyła ostrożnie swój ciężar, który okazał się świeżo wyklutem pisklęciem. Z odległości 15 metrów p. J. widział, jak następnie słonka rozpuściła skrzydła i szybkim ich ruchem zgarnęła nieco suchych liści, któremi pisklę zostało zlekka przykryte. Po zabezpieczeniu go w ten sposób, słonka odleciała i po upływie 4 minut wróciła z powrotem, niosąc w łapkach drugie pisklę, po osadzeniu którego na ziemi, powtórzyła znowu swój manewr z liściami. Zdaniem świadka tego ciekawego faktu, troskliwej matce chodziło o przeniesienie świeżo wyklutych piskląt z ciemnego i wilgotnego lasu na jasną i ogrzaną słońcem polanę, zaś okrycie ich suchem listowiem miało zapewne na celu ochronę przed wzrokiem drapieżnika.

Nr. 2/1936. Str. 39. M. de la Faye *„Za wzbronieniem wyławiania kwiczołów"*. — Organizacje międzynarodowe zajmują się gorliwie ochroną ptaków przelotnych, domagając się ograniczenia polowań na nie, często nawet z wyraźnem pokrzywdzeniem interesów licznej rzeszy prawidłowych myśliwych. Natomiast niektóre uchwały mają charakter kompromisowy, tam właśnie, gdzie połowiczne rozstrzygnięcie jest nie na miejscu. Tak np. żądano wzbronienia użycia sieci dla łowienia ptaków przelotnych na ziemi, ale dozwolono zakładać je na drzewach. Otóż autor domaga się kategorycznie całkowitego wzbronienia używania wogóle sieci do łowienia ptaków, narówni z innemi przyborami, oprócz strzelby, gdyż sprawiają one znacznie więcej szkody, niż tysiące strzelb w rękach myśliwych. W danym wypadku chodzi autorowi o kwiczoły, które są we Francji w ogromnych ilościach wyławiane sieciami. Tymczasem kwiczoł jest zwierzyną łowną interesującą, strzał do niego w locie nie jest łatwy, i w niektórych miejscowościach, wobec braku innej zwierzyny, może stanowić objekt ciekawego polowania, dając zadowolenie myśliwym, a dochód fabrykom amunicji.

Nr. 2/1936. Str. 47. J. Nicolas *„Czy ilość zwierzyny skrzydlatej zmniejsza się?"* — Stwierdzając, że zmniejszenie to jest bezsprzeczne, autor przypisuje to w znacznej mierze niepotrzebnym wysiłkom rządów nad osuszaniem błot, niszczącem najlepsze tereny łowieckie, a pogarszającem stan rolnictwa, które już dziś nie wie, co robić z nadmiarem wyprodukowanego zboża. Prawda, że równocześnie duże nakłady ponosi tenże rząd — przerzucając je zresztą na podatników — na tworzenie parków narodowych i rezerwatów, jednak zwierzynie nie zastąpią one nigdy naturalnych warunków. Toteż autor jest zdania, że dzień, w którym zapanuje we Francji „oszczędność łowiecka", będzie oznaczał duży krok naprzód w zakresie polepszenia zwierzostanu.

Nr. 2/1936. Str. 58. Miatleff *„Polowanie na dzikie gęsi w gub. nowgorodzkiej"*.—Wczesną wiosną, kiedy jezioro Ilmen znajduje się jeszcze pod lodem, ale już odtajały rzeki, do niego spływające, powstają szerokie rozlewiska, z których wynurzają się miejscowości wyższe. One to stanowią żerowisko dla gęsi, ciągnących na północ do miejsc lęgowych. Na takich właśnie pagórkach kopie się głęboką jamę, w którą wstawia się na pół przepiłowaną beczkę, umieszcza się w niej stołek, a brzegi osłania gałęźmi. Myśliwy ulokowuje się w beczce przed wschodem słońca, a obok umieszcza się kilka szarych gęsi domowych, uwiązanych do kołka. Ze wschodem słońca zaczynają ciągnąć klucze gęsi, które, widząc siedzące ptaki, obniżają lot — a wówczas następuje strzelanina. Autor zabił w ciągu jednego dnia 56 gęsi w taki sposób, zaś rekord osiągnął W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz, który zdobył 126 sztuk. Najlepiej ciągną gęsi w dnie pochmurne, nawet o mżącym deszczu, gdyż wówczas lecą one nisko, nie widząc myśliwego.

WILD UND HUND

Nr. 4/1936. Str. 75. *„Jak się otrzymuje kartę łowiecką?"* — Wobec rozpoczęcia z dn. 1.IV nowego roku łowieckiego prasa fachowa przypomina warunki, na jakich karty łowieckie są wydawane. Istnieją następujące kategorje kart z rozmaitym wymiarem opłaty: a) karty krajowe roczne — 50 mk., b) karty krajowe dzienne na przeciąg 5 dni — 8 mk., c) karty roczne dla obcokrajowców za zgodą łowczego prowincjonalnego—300 mk., d) karty dzienne dla obcokrajowców — 60 mk., e) karty dla służby łowieckiej — 10 względnie 5 mk., f) karty dla myśliwych z sokołami — 6 mk., g) karty roczne dla młodzieży, uprawnionej do polowania tylko w towarzystwie instruktora — 25 mk., h) karty roczne dla inwalidów wojennych — 25 mk., karty dzienne dla inwalidów — 5 mk. Podania o karty łowieckie zgłaszać należy do łowczych powiatowych, dołączając: 1) udowodnienie ubezpieczenia się w towarzystwie asekuracyjnem na przeciąg roku od szkód na zdrowiu osób trzecich w kwocie najmniej 150 tys. mk., i od szkód materjalnych w kwocie najmniej 15 tys. mk., 2) dowód zaprenumerowania na okres roczny fachowego pisma łowieckiego, 3) dowód przynależności do niemieckiego stanu łowieckiego, a w razie zwracania się o kartę po raz pierwszy — świadectwo komisji o wynikach prób i egzaminu, 4) wobec obowiązku wszystkich myśliwych uczestniczenia w strzelaniu ćwiczebnem w ciągu lat 10 — dowód, stwierdzający ilość wykupionych kart łowieckich rocznych, 5) nową fotografję. Niewykupienie nowej karty łowieckiej w ciągu 3 miesięcy pociąga za sobą skreślenie z listy członków niemieckiego stanu łowieckiego, a w konsekwencji — unieważnienie kontraktów na dzierżawę terenów łowieckich.

Nr. 5/1936. Str. 98. Richter *„Upadek polowań kaczych"*. — W miejscowości Kiddeln, w pow. Stołupiany w Prusach Wschodnich, zauważono w końcu marca r. b. zarówno na rzeczce Rauszwe, jak i na lądzie w jej pobliżu, około 135 martwych kaczek-krzyżówek. Kaczki były w dobrem ciele i miały wygląd normalny. Badania weterynaryjne stwierdziły ostre zapalenie kiszek, co zrodziło przypuszczenie, że kaczki się potruły. Poszukiwania wykazały, że istotnie na sąsiedniem polu znajdowały się kupki wapna, przygotowane wczesną zimą dla nawożenia pól i przykryte z góry nawozem bydlęcym. Kaczki w poszukiwaniu pożywienia grzebały w nawozie i nałykały się wapna. Pod wpływem pragnienia zapiły to wodą i spowodowały lasowanie się wapna, które przepalało im wnętrzności. Zwracając uwagę na niebezpieczeństwo dla zwierzyny, wynikające z podobnego pozostawienia bez natychmiastowego zaorania większych ilości wapna na polach, autor podkreśla, że niebezpieczeństwo to mogło być w danym wypadku dużo zmniejszone przez przykrycie wapna nie nawozem, ale ziemią.

Nr. 9/1936. Str. 144. M. von. Kobylinski: *„Stan łosi w Szwecji"*. Autor, zwany „ojcem łosi" w Prusach Wschodnich, jest jednym z najlepszych znawców sprawy ochrony i hodowli łosia. Toteż opinja jego o stanie łosi w Szwecji, będącej w Europie największym rezerwuarem tego wspaniałego zwierza, warta jest szczególnej uwagi. Szwecja liczy obecnie około 40 tys. sztuk łosi. W 1935 r. ubito z tej ilości 6634 sztuki, czyli 1/6 zwierzostanu, w tem 3667 byków, 2941 klemp i 26 cieląt. W myśl obowiązujących przepisów odstrzał łosi dokonywa się w ciągu 4 dni w roku bez ograniczenia ilości sztuk, z tem jedynie zastrzeżeniem, że nie wolno strzelać cieląt i że nie wolno przekraczać własnego czy dzierżawionego łowiska. Właściciele dużych obszarów, które tu wahają się od 100 tys. do 1 miljona morgów niemieckich, (25 — 250 tys. ha.), mogą uzyskać prawo odstrzału dowolnej ilości sztuk, opłacając zgóry za tę ilość po 20 koron od głowy; wówczas termin odstrzału przedłuża się do 2 tygodni. Przepisy te są przestrzegane jednak tylko w Szwecji środkowej i południowej, natomiast w Szwecji północnej, której olbrzymie obszary są słabo zaludnione i również słabo pilnowane, łosie są bite bez ograniczenia. W chwili obecnej do ciał ustawodawczych złożono projekt nowego prawa łowieckiego, w którem czynniki zainteresowane pragną widzieć reorganizację odstrzału i ochrony łosia na zasadach bardziej racjonalnych. Autor ze swej strony uważa, że w Szwecji środkowej i południowej reforma powinna być skierowana do tego, aby, zachowując obecny ilostan łosi (powiększenie go jest niepożądane ze względu na niebezpieczeństwo, grożące ze strony łosi małej własności rolnej, zdobywającej trudem wielu lat pole uprawne, wydarte skałom), dążyć do polepszenia jakości łosi, chroniąc klempy przy małych i dokonywując selekcyjnego odstrzału byków, aby usunąć badylarze i dać łopataczom możność dojścia do pełni rozwoju sił. Natomiast w Szwecji północnej dążyć należy do jaknajwiększego rozmnożenia łosi, gdyż olbrzymie przestrzenie leśne, prawie pozbawione uprawy, mogą zmieścić nieograniczoną ich ilość, zaś warunki karmy zapewniają znakomity rozrost fizyczny łosi, osiągających tam wagi i wielkości rosoch, w pozostałej Europie nieznanych.

J. G.

Z WŁOSKIEJ PRASY ŁOWIECKIEJ.

W nr. 12 z dn. 22.III.36 *Cacciatore Italiano* zamieszcza ciekawy artykuł redakcyjny o corocznych migracjach ptaków. Traktuje się tam bardzo poważnie możliwość zdobycia rzadkich okazów ornitologicznych, pomijając wszelkie inne względy łowieckie, tembardziej kulinarne. Nadto redakcja zastanawia się nader rzeczowo nad problemem, który odwiecznie zaciekawiał wszystkich międzynarodowych badaczy, a nawet szeroki ogół laików, rozpatruje cykl hypotez, odnoszących się do sprawy perjodycznych wędrówek. Suponowano ongiś, że „migratorzy" odbywają swe loty, podnosząc się aż do wysokości dwunastu tysięcy metrów, jednakże znany uczony, astronom Spill, określa stanowczo normalny poziom do czterech tysięcy — maksymalny do ośmiu, bowiem — już na wysokości pięciotysięcznej — ciśnienie redukuje się do pół atmosfery, zaś ponad 11.000 m., oprócz tego temperatura waha się pomiędzy 35 — 45 stopni niżej zera. Wobec tego bardzo wątpliwemi są znaczne wysokości poziomów migracyjnych. Zresztą ostatnie zdobycze obserwacyjne, osiągnięte przez lotnictwo stratosferyczne, stanowczo ustanawiają „minimum" 3.000 metrową wysokość dla ptaków. Stanowi to już poniekąd nie supozycję, lecz eksperymentalny aksjomat dla wszystkich rodzajów skrzydlatych obywateli powietrza.

Co się tyczy przyczyn, wywołujących zjawisko migracyjne — to oprócz założenia o braku pokarmu i niskiej temperaturze w zimie, co zresztą powinno być przyjęte z poważnem zastrzeżeniem, widzimy cały szereg innych motywów, jako funkcyj pewnego rodzaju instynktu, zmuszającego ptactwo do oddalania się od rejonów lęgowych, zaś wiosną do najrychlejszego powrotu *). Zagadnienie „nieomylności" w drodze pozostaje zawsze w sferach teoretycznych rozumowań, pomimo pewnych przypuszczeń o działaniach magnetycznych prądów powietrznych kierujących, orjentacji zapomocą rzek i pasm górskich. Wszystkie te postulaty nie są jednak jeszcze naukowo udowodnione.

Prawdziwy instynkt ptaków i jego geneza pozostaje narazie — „terra", a raczej „aria incognita". Jeśli dodać do tego szczególnienie sposobów formowania się wędrujących kohort rozmaitych gatunków, różnolitość perjodycznych powrotów samiczek i samczyków, niezależnie jedne od drugich, u pewnych odmian — jako pewną nawet wiedzę aerodynamiczności dla lotnictwa wojskowego przy formowaniu swych eskadr — na charakterystyczną „trójkątność" niektórych ptaków się wzorujących, — widzimy jak „na serjo" pasjonujący ów dylemat został przez naszych italskich kolegów rozwiązany. Ciekawem jest, że niektóre odmiany, między któremi są miłe nasze przepióreczki, nie obserwują żadnej formacji podróżniczej — lecą samopas — pojawiając się raptownie na danem wybrzeżu morskiem w stanie absolutnego niemal wyczerpania.

*

Venatoria, 2.III.36. Smutne wrażenie robi oficjalny dekret, podkreślony artykułami o konieczności podobnych zarządzeń (Umberto Carolici). Rzecz ma się w tem, że chociaż wedle zarządzenia zakazano polować na ptactwo przelotne od 31.III, jednakże w jakiejś „szóstej" zonie — termin ten prolonguje się aż do 31 maja r. b. Wolno jest także polować na przepiórki i turkawki do tego terminu, prawda: nie bliżej, niż tysiąc metrów od brzegów?! — Wielka parada!

Nawet wola Mussoliniego w danym wypadku „skiksowała".

*) Dobiega jeszcze teorja rozwoju gruczołów płciowych, w zależności od działania promieni słonecznych. Doświadczalnie przestudjowany został ten objaw bardzo szczegółowo przez uczonych amerykańskich. *(Przyp. autora).*

Udało się tylko wstrzymać tępicielskie zapędy do granicy dwóch lat. Przykrem jest to odczucie przeżywanej przez włoskich pisarzy radości! Aż skrzy się ona w tonie prasy, w umieszczonym na czołowem miejscu „Cacciatore"—artykule „Si avaunzia l'abrogazione dei providimcati ucegionali sulla caccia". A więc... niestety, tylko oznajmia się zniesienie nadzwyczajnych rygorów — odnośnie polowań... Płaczą italscy myśliwi...

Nr. 14 z dnia 5.4.36 rozpoczyna się wyciągiem z „Gazetta Ufficiale dele Regno" — w tejże materji, terminów ochronnych odnośnie przepiórek i wogóle o procedurze „ucellagione" — to jest łapania małych ptaszków. A tuż obok — miłe tak wrażenie czynią, bardzo ładnie napisane strofy o jaskółkach „Rondinella pellegrina d'un lontago sogno d'amore" (Jaskółeczka — pielgrzymka — dalekiego snu miłości) z podpisem F. Pegna.

Zaiste, oryginalny konglomerat subtelnego sentymentu — z okrutnym niszczycielskim zwyczajem! Chociaż i w sferach „ptaszników" niejaki doktór A. Nessi — zakańcza jednakże swój artykuł melancholijnym frazesem „in aprile, delle esser viole— e non tordi" (Kwiecień miesiącem fijołka — a nie drozdów) — nota bene „chudych" w tej porze roku, łatwo zdobywanych, bo „duszonych" w sidłach! Ale zawsze to głos pewnego postępu — dobre i to!...

A. RZEWUSKI

NABOJE Z KOLOROWEMI PRZYBITKAMI.

(—zet—) W Nr. 11 „Łowca Polskiego" z dnia 10 kwietnia 1935 r. poruszaliśmy sprawę potrzeby wprowadzenia w Polsce kolorowych przybitek w nabojach śrutowych, elaborowanych w kraju, w zastosowaniu do najbardziej używanych w myślistwie grubości śrutu, dla ułatwienia odróżniania ich, gdy naboje pomieszane są w torbie, lub w kieszeni.

Obecnie mamy do zanotowania fakt, że Zakłady Amunicyjne „Pocisk", uwzględniając wygodę myśliwych, wprowadziły już do swej elaboracji kolorowe przybitki, dotąd w trzech kolorach, czwarty ukaże się przed sezonem zimowym.

Kolorowe przybitki otrzymały w „Pocisku" naboje ze śrutami:
Nr. 6 (2,5 mm) — zieloną,
Nr. 4 (3 mm) — niebieską,
Nr. 2 (3,5 mm) — czerwoną.
Następną i ostatnią kolorową przybitkę otrzyma:
Nr. B (4 mm) — żółtą.

JESIENNE PRÓBY PSÓW RAS ANGIELSKICH.

W dniu 13 września b. r. odbędą się w Wilanowie próby, urządzone przez grupę klubów kynologicznych dla psów ras angielskich.

Bliższe szczegóły zamieszczone zostaną w Nr. 25 „Łowca Polskiego" z dnia 1 września b. r.

KONKURS I POKAZ PSÓW MYŚLIWSKICH NA POMORZU.

Pomorskie Towarzystwo Łowieckie (Toruń, ul. Sienkiewicza Nr. 12) urządza ósmy z rzędu doroczny konkurs i pokaz wyżłów dowodnych. Obie imprezy odbędą się w połowie września b. r. w Komierowie, powiat Sępolno.

Jako nagrody przewidziane są premje pieniężne, medale i wartościowe upominki.

Zgłoszenia i zapytania przyjmuje p. Dr. Jan Łukowicz, ul. Dworcowa 41, Chojnice.

NASZA AUDYCJA ŁOWIECKA W AMERYCE.

Nadana rok temu przez rozgłośnię toruńską Polskiego Radja niezwykle ciekawa transmisja z rykowiska jeleni była nietylko sensacją dla radjosłuchaczy polskich, ale zwróciła na siebie precyzją swego wykonania uwagę radjofonij zagranicznych. Chcąc umieścić „rykowisko jeleni" w swych programach — amerykańska rozgłośnia zwróciła się do Polskiego Radja z prośbą o wypożyczenie płyt z nagraną audycją.

Przy tej okazji z całą przyjemnością musimy podnieść, że transmisję tę, jak i wiele innych z dziedziny łowiectwa, zawdzięczamy inicjatywie p. Jerzego Dylewskiego.

GRADOBICIE.

Dn. 28 lipca b. r. wieczorem, nad pow. sochaczewskim przeszła duża burza, połączona z gradem. Szczęśliwie, grad padał wąskim stosunkowo pasem, czyniąc olbrzymie spustoszenie w zwierzostanie w gminach: Chodorów, Łazy i Kampinos.

Z otrzymanych informacyj od okolicznych właścicieli terenów łowieckich stwierdziłem, że kuropatwy i młode zające zostały niemal doszczętnie wybite.

Znajdowano partjami od 6 — 12 kuropatw zabitych, a niektóre były dosłownie zmasakrowane. Grad miejscami pozabijał bociany na gniazdach i osiągał wielkość dużych jaj kurzych. W okolicach majątku Gawłowo, gm. Chodaków, znaleziono grudy lodu, które z trudnością można było objąć ręką dorosłego mężczyzny.

Korzystając z informacyj pow. lek. weterynarji, p. T. Mierzwińskiego, który udał się na teren powiatu, dowiedziałem się, iż w pasie, objętym gradobiciem, kuropatwy i zające zostały faktycznie wyniszczone.

WITOLD KOWALSKI.

KŁUSOWNICTWO.

Wytężona akcja w kierunku zlikwidowania kłusownictwa na terenie pow. sochaczewskiego trwa w dalszym ciągu z niesłabnącem napięciem.

W wyniku tej akcji, starosta powiatowy sochaczewski ukarał 47 kłusowników.

Kary zastosowano od 30 do 300 zł. grzywny i 14 dni do 3 miesięcy aresztu bezwzględnego, oraz konfiskatę broni i amunicji.

Z tej liczby jedynie dwaj odwołali się do Sądu Okręgowego, w którym jeden z nich ukarany został grzywną w wysokości 300 zł., z zamianą w razie nieściągalności na 60 dni aresztu. (W starostwie otrzymał 100 zł. grzywny i 2 m. aresztu bezwzględnego). Sprawa drugiego wkrótce będzie rozpatrzona.

Do wyśledzenia powyższych przyczynił się głównie st. post. Filipczyk Piotr z posterunku pol. p. w Młodzieszynie, który naprawdę nie spoczywa w pracy i wolne chwile od zajęć służbowych poświęca na śledzenie i wyłapywanie kłusowników. Dzielny st. post. Filipczyk potrafił w jednym tygodniu odebrać 10 strzelb. Za jego trudy i stały zapał do walki z plagą powiatu wyrażam mu na tem miejscu najserdeczniejsze podziękowanie.

WITOLD KOWALSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Sochaczew.

(—zet—) W końcu maja pod wsią Laski, gminy Nowa Wieś, pow. grójeckiego, gajowy Stefan Rogoziński natknął się podczas rannego obchodu lasu na dwóch kłusowników, dźwigających dwie ubite sarny.

Na ten widok gajowy wezwał kłusowników do zatrzymania się, w odpowiedzi na co wystrzelili oni do Rogozińskiego. Gajowy wówczas także użył broni. Podczas strzelaniny Rogoziński został ranny w kark i rękę, zaś kłusownik Antoni Pawelec, mieszkaniec wsi Polesie, również otrzymał postrzał.

Towarzysz Pawelca, Piotr Janusik, widząc leżącego rannego towarzysza, zabrał jego dubeltówkę i sam zbiegł.

Rannych przeniesiono na posterunek policji w Warce, gdzie opatrzył ich zawezwany lekarz, przyczem stwierdził ciężki stan Pawelca.

Za zbiegłym Janusikiem zarządzono pościg.

*

(—zet—) W końcu maja b. r., w lasach pod Lisewem pow. morskiego, został postrzelony osadnik Andrzej Miotk, który uprawiał zawodowo kłusownictwo.

Miotk orzymał postrzał przy spotkaniu z gajowymi maj. Kroków.

Rannego przewieziono do szpitala w Wejherowie.

*

(—zet—) W połowie czerwca b. r. w lesie działoszyńskim pod Częstochową, kłusował nieznany osobnik, który, polując na rogacza, strzelił w gąszcz, zabijając 12-letniego Stanisława Szymowskiego, którego wziął w zmroku za zwierzynę.

Policja wdrożyła energiczne dochodzenie w poszukiwaniu sprawcy.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

SPRAWOZDANIE Z POSZCZEGÓLNYCH POLOWAŃ W REWIRACH ORDYNACJI MYSZKOWSKICH W R. 1935.

Rok 1935	Ordynacja Myszkowskich	Starostwo	Teren	Rodzaj polowania	Strzelb	Aura	Kozioł	Lis	Zając	Królik	Bażant	Kuropatwa	Słonka	Różne	Ogółem	Polowali PP.:
10.IX	Chroberz	Pińczów	Pola	Pędzenia i ławy	9	zmienna						391		8	399	Józef Dembiński, Hr. Leon Komorowski, Henryk i Paweł Potoccy, Maciej ks. Radziwiłł, Hr. Andrzej i Wład. Tyszkiewiczowie, Wład. Tarnowski, Margr. Wielopolski
16.X	Włochy	"	Las	Ławy	4	pogodna			171	20			1		192	Xiąże Zdz. Lubomirski, Hr. Wład. Tarnowski, Zyg. Wielopolski, inż. Alex. Ostrowski
28.X	Włochy	"	Las	"	8	słota			325	6	62	24	18	4	439	Stefan Dąbrowski, J. Dembiński, Hr. Adam, Paweł, Stanisław Potoccy, Jan Szeptycki, Władysław Tarnowski, Janusz Zdziechowski
29.X	"	"	Las i pole	"	8	słota			419	26	35	28	5	6	519	
30.X	"	"	Las i pole	"	8	pogoda			625	2	42	41	6	—	716	
															1674	
23.IX	Xiąż Wielki	Miechów	Pole	Pędzenia i ławy	9	zmienna						516	3		519	
24.IX	"	"			9	pogoda						669			669	
															1288	
5.XI	Xiąż Wielki	Miechów	Pole i las	Pędzenia i ławy	6	pogoda			242	53	1057	22	6	2	1382	Tad. Halpert, Konrad Niemojewski, Hr. Paweł i Władysław Potoccy, Jan Szeptycki, Benedykt Tyszkiewicz jun.
6.XI	"	"	Las	Ławy	6	mglisto			743	149	142	15	4	3	1057	
							28 w ciągu sezonu na podjazdach								2439	

WYKAZ ZWIERZYNY UBITEJ W ORDYNACJI MYSZKOWSKICH W R. 1935.

REWIRY ORDYNACJI MYSZKOWSKICH	Zwierzyna użytkowa — Sarny: rogacze	Sarny: kozy	Jelenie	Zające	Bażanty	Słonki	Kuropatwy	Przepiórki	Bekasy	Kaczki	Króliki	Cietrzewie	Gołębie	Razem	Drapieżniki — Lisy	Borsuki	Kuny	Tchórze	Łasice	Jastrzębie	Wrony	Sójki	Kruki	Psy	Koty	Sroki	Sowy	Błotniaki i kanie	Jeże	Razem	Ogółem
	S z t u k														S z t u k																
	28	12	1	2545	1428	49	1964	21	22	150	330	2	10	6537	29	—	—	25	147	331	502	176	3	379	286	63	5	122	—	2068	8625

Podaję poniżej, jak corocznie, wykaz ubitej zwierzyny w sezonie od 1.IV 1935 do 31.III 1936 r. na terenie moich majątków: Nawojowa, Rytro w powiecie nowosądeckim i Szczawnica Szlachtowa w pow. nowotarskim. Teren własny wynosi około 9.000 ha lasów — dzierżawne około 8.000 ha pól i lasów włościańskich.

Jeleń 1, dzików 13, rogaczy 4, zajęcy 187, kuropatw 1, jarząbek 1, kaczka 1, kuny 2, lisów 10, kotów 64, psów 47, różnych 90.

Odebrano kłusownikom 10 strzelb.

Objawem b. przykrym jest obecnie znajdowanie na moich terenach b. wielu kóz, postrzelonych przez dzierżawców terenów łowieckich gminnych, przez chłopów — którzy strzelają, co przed lufę przyjdzie — bez pożytku dla siebie, a z wielką szkodą dla zwierzostanu w całej okolicy. Znaleziono np. niedawno kozę padłą wskutek postrzału śrutem, a obok niej trzy koźlęta, również nieżywe, w pozycji ssącej matkę. — Fakty takie muszą zgrozą przejąć każdego myśliwego — zwłaszcza, że niema na to rady, dopóki nie będzie ingerencji władz w prawo wydzierżawiania polowań, dopóki obwody łowieckie, dające prawo odstrzału sarn, nie będą powiększone, oraz dopóki sprawa enklaw i półenklaw nie będzie uregulowana w tym duchu, by nie była, jak to jest obecnie, ulegalizowaniem kłusownictwa.

ADAM STADNICKI.

TREŚĆ NUMERU:

NASTĘPUJĄCE DZIEŁA są do nabycia w administracji i z ustępstwem 15% rabatu dla prenumeratorów „ŁOWCA POLSKIEGO":

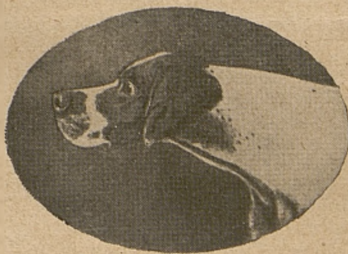
1.. **Bażant łowny** — C. Cronau . . . zł. 3.—
2 **Choroby zwierzyny łownej i sposób ich zwalczania**—Inż. Leona Martyńca . . . zł. 0.50
3. **Choroby zwierzyny łownej** — Inż. Leona Ossowskiego . . . . zł. 2.—
4. **Dubeltówka śrutowa. Nabój. Strzelanie** H. Downar-Zapolskiego . . . . zł. 2.—
5. **Czy możliwe jest obecnie i jaką drogą odrodzić wymierającego żubra** d-ra K.Wróblewskiego zł. 4.60
6. **Ekonomiczne znaczenie łowiectwa dla naszego kraju** — F. Rożyńskiego i d-ra E. Schechtla zł. 2.—
7. **Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Piłsudskiego Józefa**—Wł. Kobylańskiego zł. 1.—
8. **Estetyka łowiectwa** — Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 2.—
9. **Św. Eustachy** — Wł. Janty-Połczyńskiego . zł. 3.—
10. **Głuszec** — Monografja. Bolesława Świętorzeckiego zł. 2.40
11. **Hodowca a myśliwy** Ernestra hr. Sylva Tarouca zł. 3.—
12. **Hodowla bażantów** — dyr. Henryka Kemmera zł. 3.—
13. **Humor i łacina myśliwska** J. Wł. Kobylańskiego zł. 1.50
14. **Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie**—J.Wł. Kobylańskiego zł. 3.—
15. **Jak unikać wypadków z bronią** — J. Sztolcmana . . . . zł. 0.25
16. **Jarząbek**—Monografja Ottona Pereświet-Sołtana zł. 1.—
17. **Kalendarz Myśliwski**—na 1931, 1932 i 1933 rok po zł. 2.—
18. **Kalendarz Myśliwski** — na 1934, 1935 zł. 3.—
19. **Kalendarz Myśliwski na rok 1936** . . zł. 3.—
20. **Karczma pod wilkiem**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 1.50
21. **Krajobrazy i polowania w Polsce** — Pierre Coche'a w języku francuskim . . . . zł. 6.50
22. **Krótki praktyczny podręcznik tresury psa myśliwskiego** — K. Zarubina . . . zł. 2.—
23. **Kruk** — Monografja K. hr. Wodzickiego . . zł. 4.50
24. **Lis** — Monografja Jerzego Dylewskiego . . zł. 3.—
25. **Myśliwska Teka Fałata** — 8 plansz . . zł. 15.—
26. **Myślistwo z ogary** — Jana hr. Ostroroga . zł. 1.50
27. **Myślistwo w Panu Tadeuszu** — M. Mniszka Tchorznickiego . . . . zł. 0.30
28. **Myślistwo Wschodnie** — Księga pamiątkowa łowiectwa wschodniego bez rabatu . . . . . . zł. 5.—
29. **Nad Nilem niebieskim** — Jana Sztolcmana . . zł. 6.—
30. **Nasze psy** — St. Błockiego (bez rabatu) . zł. 7.—
31. **Nasze skrzydlate drapieżniki**— Monografja Wł. Gürtlera . . . . zł. 2.30
32 **Ocena trofeów myśliwskich** — Inż. H. Knothego . . . . zł. 0.30
33. **O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie** — J. Wł. Kobylańskiego. . . . zł. 1.50
34. **O zwierzyńcu w Częstochowie, Grodnie Katowicach Krakowie i Lesznie** — J. Wł. Kobylańskiego . . . . zł. 1.—
35. **O łosiu**—J. Wł. Kobylańskiego. . . . zł. 2.—
36. **Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt** — d-ra Wł. Polińskiego — zeszyt I — 1.40, zeszyt II—zł. 2.50, zeszyt III—zł. 1.20 zeszyt IV—zł. 0.50, zeszyt V—zł. 1.—, zeszyt VI—zł. 2.— zeszyt VII—zł. 2.— . . . komplet zł. 10.60
37. **Podręcznik łowiectwa** — Inż. Stan. Kamockiego . . . . zł. 8.—
38. **Podstawy łowiectwa** — B. Świętorzeckiego zł. 8.—
39. **Próba uporządkowania bibljografji w odrodzonej Polsce** M. Mniszka-Tchorznickiego zł. 2.50
40. **Przepisy: O broni, amunicji i materjałach wybuchowych; łowieckie**—H. Maletza zł. 2.50
41. **Polująca pani**—Wł. Janty-Połczyńskiego zł. 3.50
42. **Posokowce** — Inż. Leona Ossowskiego zł. 1.—
43. **Ramoty myśliwskie** Wł.Janty-Połczyńskiego zł. 3.—
44. **Skowronek**—K. hr. Wodzickiego . . zł. 3.60
45. **Tablice ścienne** do określania ptaków drapieżnychi krukowatych — J. Sztolcmana . . . zł. 0.50
46. **Szczęśliwe dni.** Stefana hr. Badeniego (bez rab.)zł. 18.—
47. **Uwagi o polowaniu na jelenie podczas rykowiska. Na przesmyku**—Inż.T. Śliwińskiego zł. 1.—
48. **Wabienie wilków**—Ottona Pereświet.-Sołtana zł. 0.75
49. **W polu w lesie**—Wł. Gürtlera . . zł. 1.—
50. **W stepach i puszczach** Wł. Czerniejewskiego zł. 1.—
51. **Wycenianie trofeów myśliwskich** A. Dyk'a .zł. 1.50
52. **Żubr.** Historja, obycz. i przyszłość—J.Sztolcmana zł. 3.30
53. **Żywienie jeleni i sarn** d-ra Maxa Neumeistera zł. 1.20

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) dolicza się zł. 1.—
Za zaliczeniem pocztowem — najmniejsza dopłata zł. 1.50

DO ODSTĄPIENIA OKAZYJNIE

POINTER

(biały, czarno znaczony)
rodzice: Bolmil „Prima" i „Janko", w trzeciem polu, z rodowodem, nagrodzony na konkursach i wystawie.
Aportuje z wody i na suchem.
Przy kupnie do wypróbowania.
Cena 800 złotych.



Parę pointerów, konkursowych, ułożonych, oddaje bezinteresownie do polowania (dla treningu) przez wrzesień na warunkach: Wyjazd z treserem. Strzelanie kuropatw przy jednej strzelbie od 25 do 50 dziennie. Treserowi 15 złotych dniówki.

Oferty piśmienne z podaniem: dojazdu do terenu i jaką lokomocją, terminów polowań, daty wyjazdów. lub ustalonych dni w tygodniu.

Hodowla „Splendor" A. Brudnickiego.
Warszawa, ul. Krucza 34 m. 20.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek - Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus - Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI i FABRYKA AMUNICJI

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17.

Oddziały: Poznań — Br. Pierackiego 12, Lwów — Plac Marjacki 4, Wilno — Wileńska 10.

Poleca: duży wybór strzelb myśliwskich, karabinków i pistoletów pierwszorzędnych fabryk, oraz naboje śrutowe, pistoletowe, rewolwerowe, sportowe kal. 22 i śrut w najlepszym gatunku — własnego wyrobu,

Warsztaty rusznikarskie pod kierownictwem wykwalifikowanych majstrów w Centrali i Oddziałach.

MYŚLIWSKA TEKA FAŁATA

Album zawierający 8 plansz (autolitografij wymiaru 28 x 45 cm: łosie, niedźwiedzie). Cena za komplet 15 zł., na 3 raty miesięczne. Zamówienia przyjmuje przy jednoczesnem przekazaniu gotówki na P. K. O. Nr. 8.082 z doliczeniem za przesyłkę pocztową zł. 1.—

Administracja „Łowca Polskiego", ul. Nowy Świat 35

Przemoczenie nóg bywa przyczyną ciężkich chorób!

Polując po wodzie, rosie i śniegu, myśliwy powinien posiadać obuwie skórzane nieprzemakalne

Przetłuszczone smarowidło do butów

„JEDYL"

spreparowane według przepisu Jerzego Dylewskiego

czyni skórę miękką, elastyczną oraz całkowicie nieprzemakalną

Cena tuby ze szczoteczką 1 zł. 95 gr.

Sprzedaż główna w Tow. Przemysłu Chemiczno—Dezynfekcyjnego Warszawa, Rakowiecka 27, tel. 9.00-19

Na prowincję wysyłkę uskutecznia się na koszt odbiorcy

Prosimy spróbować! Próba jest najlepszą reklamą dla solidnego artykułu!

BLANKIETY RODOWODÓW dla psów wszystkich ras

wydanie Klubu Settra Angielskiego w Polsce.

Blok zawiera 10 blankietów, 10 odpisów i kartę ewidencyjną dla hodowców. Dodatek — Regulamin Księgi rejestracyjnej Setterów Angielskich.

Cena zł. 2.85, porto zwyczajnej przesyłki gratis.

Do nabycia w redakcji „Łowca Polskiego" lub w Zarządzie Klubu Settra Ang. w Polsce — Nowy Świat, 35

Konto P. K. O. Klubu — Nr. 26 562.

NADLEŚNICTWO PAŃSTWOWE GARWOLIN

wydzierżawi 4 obwody łowieckie o pow. 1600 ha.

INFORMACJE W NADLEŚNICTWIE pow. GARWOLIN, TELEFON 37.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantarnik — strzelec—gajowy, lat 39 obeznany z sadzeniem szkółek, prowadzeniem kultur i zakładaniem lasów, z 22-letnią praktyką poszukuje posady. Józef Bartyzel p. Lipa, wieś Kruszyna.

Jamniczki rasowe bronzowe sześciotygodniowe po 15 złotych sprzedaje Kozłowska. Warszawa, Alberta I (Niecała) Nr. 12.

Leśnik lat 40, obeznany z hodowlą bażantów, posiadający dobre świadectwa i referencje oraz dwudziestoletnią praktykę poszukuje posady. Zgłoszenia: Kazimierz Kurzawski p. Legjonowo pod Warszawą, Poniatów.

Psy Settery rasowe, sprzedam. Tel. 5-11-55, Warszawa, Szczygla 1-a m. 11.

Sprzedam sukę w 3 polu, psa w 2 polu rasy niemieckiej, krótkowłose. Kozłowski Leśniczy Gorazdowa, poczta Borzykowo pow. Września.

Strzelec — gajowy. znający się dobrze na łowiectwie, leśnictwie, zakładaniu szkółek, porębie i trzebieniu lasu, mogący samodzielnie prowadzić większy rewir leśny, lub łowiecki, posiadający bardzo dobre świadectwa, energiczny, pilny, sumienny, dobry tępiciel drapieżników poszukuje poszukuje posady. Zgłoszenia: Franciszek Woźniak, poczta Osięciny, Samszyc (las) pow. Nieszawa.

Szczenięta pointery angielskie z rodowodami tanio sprzedam. Prudy, Wysokowszczyzna, Wileńszczyzna—Oleszyna.

Psy Settery irlandzkie z rodowodami do sprzedania. Saska Kępa, ul. Styki 27 m. 5, tel. 10-34-84.